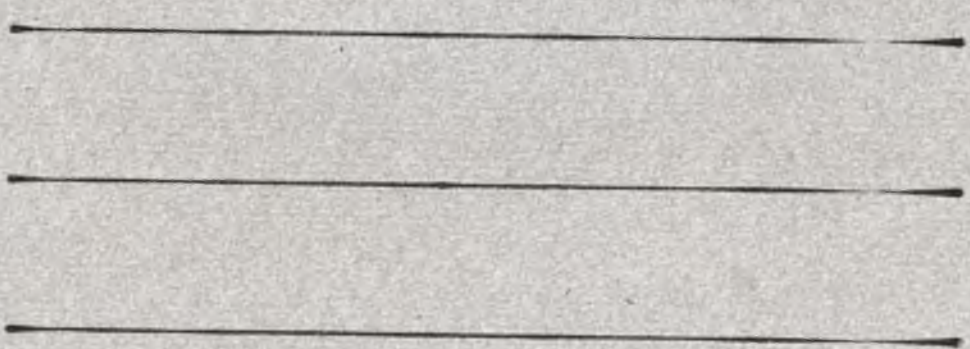


Instytut Historii i Muzeum Pomorskiej Armii Krajowej
oraz Wojskowej Floty
87-100 Toruń, ul. Toruńska 135
e-mail: historia@pomorskaarmia.pl
NIP 956 16 25 12 12 16
KRS 0000142198
Urząd Rejestrowy KRS 0000142198
Tir r-ku 82 1990 7000 0000 5002 0244

materyałów przekazanych
przez dr. Bogdanę Ziobkowską
H.B.



sym!
Leszek Nagórski

87-800 Włocławek,

dr B. Ziobkowska

Włocławek
K X P - I

Nagórski Zygmunt A.
Aleksander

M: 1377 / 2247 1 Pom.

SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI

Nagórski Zygmunt A.....
T. A-1397/2247 Som.....
Wrocławsk KZ PL.....

- I./1. Relacja k. 40 5,1-41
- I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora k. 8 5,1-8
- I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora —
- II. Materiały uzupełniające relację k. 5 5,1-5
- III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora —
- III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —
- III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —
- III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —
- III./5. Inne ... —
- IV. Korespondencja
-
-
-
- V. Nazwiskowe karty informacyjne k. 2
- VI. Fotografie brak

1/11. Relacja

1. Żywoty - relacja Zygmunta Aleksandra Nagórskiego, rękopis, kserokop. (nie deto-
wany) 2 ep.

k. 1. s. 1-2

2. Zygmunt Nagórski - wspomnienia z 1987r.
- rękopis, kserokopia

k. 39 s. 3-41



Życiorys.

Urodziłem się we Włocławku dn. 20. III. 1921 r. Po ukończeniu szkoły podstawowej, rozpocząłem naukę w Państwowym Gimnazjum Mechanicznym we Włocławku. Naukę w w/w Gimnazjum po III kl. przerwała ostatnia wojna.

W czasie okupacji do końca 1940 r. pracowałem jako praktykant budowlany, a od 1.1.1941 r. jako kreslarz w Urzędzie Ziemskim Włocławek - Oddz. Ciechoćnek. Dn. 23. III. 1941 r. zostałem aresztowany przez Gestapo i do końca wojny przebywałem w wielu obozach jako więzień, pracując w różnych warsztatach obozowych.

W maju 1945 r. wróciłem do kraju, gdzie po krótkim przygotowaniu się zostałem przyjęty do Państwowego Liceum Mechanicznego we Włocławku, które ukończyłem w 1947 r., uzyskując tytuł techn. mech. W międzyczasie dn. 26. IX. 1946 r. zdałem egzamin zawodowy uzyskując tytuł mistrza ślusarskiego.

Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości pracowałem w następujących zakładach:

1. Huta Stalowa Hola - 1.8.47 ÷ 30. X. 47 r. - mt. konstr.
2. Włocławska F-ka Sur. Kawy - 15. XI. 47 ÷ 31. V. 49 r. - krot. - techn.
3. Zakłady Mechan. w Elblągu - 7. VI. 49 ÷ 31. VII. 52 r. - st. konstr.
4. Biuro Konstr. Taboru Rzecznego - Oddz. Gdansk-Pleniewo - 16. XI. 52 ÷ 31. VII. 53 r. - st. konstr.
W 1952 r. wstąpiłem na WSJ w Gdańsku, skąd po ukończeniu I-go roku studiów przeniosłem się do Poznania, w związku ze zlikwidowaniem biura konstr.
5. Poznańska F-ka Masz. Zniwnych - 15. VIII. 53 ÷ 30. X. 53 r. - technolog.

W Poznaniu kontynuowałem studia dalej, lecz trudne warunki materialne, oraz brak mieszkania rodzinnego zmusiły mnie do przerwania studiów i powrotu do Elbląga.

6. Zakłady Mechan. Elbląg - 11. XI. 53 ÷ 31. XII. 56 r. - st. inż. konstr.

Korzystając z ustawy o stopniu inżyniera dn. 4. IX. 56 r. zdałem egzamin na Politechnice Gdańskiej uzyskując dyplom inż. - mech.

7. C.B.S. i P.B.W. "Hydroprojekt" - 1.I.57r. - pracuję tu do chwili obecnej na stanowisku st. proj.

Łożnaczam, że w czasie opisanej wyżej praktyki zawodowej wykładałem w różnych szkołach zawodowych w Elblągu oraz na kursach, na co brak mi dokumentów, natomiast od 9-ciu lat jestem wykładowcą w Państwowym Technikum Mechanicznym we Włocławku, co mogę udowodnić odpowiednim dokumentem.

Dla zamknięcia całości mego życiorysu podaję, że dn. 3.V.1966r. uzyskałem uprawnienia budowlane, wymagane od wszystkich projektantów.



1. Przed wybuchem wojny

Wiosną 1939 r. chodziłem do III kl. Państwowego Gimnazjum Mechanicznego we Włocławku. Wśród przedmiotów zawodowych i ogólnych III i IV kl. miały przedmiot "Przysposobienie Wojskowe". Ponieważ w tym czasie już głośno mówiło się o wojnie, wszyscy uczniowie kl. starszych odkomenderowani zostali do służb pomocniczych. W chwili wybuchu wojny uczniowie tych klas zostali wcieleni do służby telefonicznej w ramach służby Obrony Przeciwlotniczej. Mnie już w czerwcu wyznaczono do pełnienia funkcji telefonisty na Zawiślu.

Ministerstwo Oświaty przesunęło termin rozpoczęcia roku szkolnego o kilka dni później, licząc się z możliwością porozumienia Polski z Niemcami. O ogromnym poświęceniu społeczeństwa świadczyć może fakt, że zgłaszali się ochotnicy na tzw. "żywe torpedy". Lista kilku ochotników była wywieszona na budynku Starostwa. W tym czasie trwała akcja społecznej zbiórki pieniędzy na uzbrojenie dla Wojska. W niedalekiej przyszłości przekonaliśmy się, że do wojny byliśmy źle przygotowani, a Niemcy miały nad nami miażdżącą przewagę liczebną i techniczną.

W komputerze jest nowa wersja

Zygmunt Najorski Dłotawek K2PL

Recenzje

2. Wybuch II Wojny Światowej

Wojna wybuchła w piątek. ^{dn 1.09.39} W pierwszym tygodniu wojny Włocławek był kilka razy bombardowany przez lotnictwo niemieckie, ale wielkich szkód te naloty nie wyrządziły. W sumie miasto nie ucierpiało od tych bombardowań, gdyż Niemcom zapewne bardziej chodziło o psychologiczne oddziaływanie na ludność, niż o zniszczenie miasta, tym bardziej, że Włocławek nie miał zasadniczego znaczenia strategicznego.

Lokalny ^e plan ^y obrony miasta zakładał atak wojsk niemieckich z kierunku północno - wschodniego, tzn. od strony Prus Wschodnich. Z tego powodu, w pierwszym tygodniu wojny, zarządzono ewakuację mieszkańców z pasa ulic nadwiślańskich, począwszy od Bulwarów im. Józefa Piłsudskiego do ul. Tumskiej i Łęskiej włącznie. Ewakuowana ludność chroniła się najczęściej w podwłocławskich wioskach i miejscowościach.

Nasza rodzina ^{to: rodzice, brat Tadek, babcia Frania, ja} przeniosła się do Rakutowa, do mieszkającej tam dalszej rodziny. Rano, po przespanej spokojnie nocy, wyszliśmy z ^{ze strony babci} bratem na szosę, gdzie wśród uciekających tłumów, spotkaliśmy dwóch kolegów ^{braci} szkolnych, Leona i Kazika. ^{celem} Zdzążali oni pieszo do Warszawy, gdzie organizowano cywilne formacje obronne. Informacje o naborze ochotników w wieku do 40-tego roku życia nieustannie nadawało Polskie Radio. Z baratem podjęliśmy decyzję, aby razem ze ^{programu} spotkanymi kolegami ^{niektórzy} pojechać do Warszawy. Na chwilę wróciliśmy do domu, aby ^{z nich} pożegnać się z rodzicami. Wzięliśmy swoje rowery i wróciliśmy do czekających na drodze kolegów. Każdy z nas wziął na ramię roweru jednego ^{pasażera}. Po dwóch, trzech dniach takiej podróży drogami zapelnionymi wojskiem i uciekinierami dotarliśmy pod Sanniki. Kolejnego ranka, po nocy przespanej w jakimś niemieckim gospodarstwie znajdującym się bezpośrednio przy szosie warszawskiej, naszą podróż do Warszawy przerwał, wystawiony nocą, polski posterunek wojskowy. Jego zadaniem było blokowanie napływu ludności do stolicy, ze względu na gwałtownie ^{w stolicy} rosnącą ^{na tym} liczbę uciekinierów. Nie mogąc nic wskórać postanowiliśmy ^{Natomiast} wracać do rodziców. Leon i Kazik, którzy dotąd podróżowali na ramach naszych rowerów, postanowili, mimo tej blokady, przedostać się ^{z pomocą} pieszo do stolicy. Pożegnaliśmy się z nimi i ^{z żalem} zawróciliśmy w stronę Włocławka. Od chwili wyjazdu z Rakutowa żywiłmy się tylko owocami z

przydrożnych sadów, w których najczęściej można było znaleźć tylko niedojrzałe śliwki i jabłka. W okolicy Gostynina spotkaliśmy gospodarstwo, w którym gospodyni piekła wiejski chleb. Zapytałem, czy sprzeda nam bochenek chleba. Odpowiedziała, że sprzeda, ale nie za pieniądze, tylko za moją marynarkę od munduru szkolnego. Mimo, iż byliśmy głodni, nie mogłem zgodzić się na tę propozycję, głównie dlatego że marynarka stanowiła ^{jedyną} ciepłe okrycie podczas chłodnych nocy.

W drodze powrotnej, w Gostyninie spotkaliśmy całą wrocławski Magistrat z prezydentem (oraz jego żoną) miasta Mystkowskim i grupą radnych. Mój brat, który dopiero co rozpoczął pracę we wrocławskim Magistracie w Dziale Nadzoru Budowlanego, po ukończeniu w 1939r. Wyższej Szkoły Budowlanej w Poznaniu, odnalazł kilku znajomych. Wśród nich był pan Olszewski, który zaproponował, abyśmy obaj przyłączyli się do grupy pracowników Magistratu. Dowiedzieliśmy się od niego, że jadą teraz do wsi Stare Budy (w rejonie Łowa), stacjonuje sztab 14 pułku piechoty z Włocławka. Wyraził nadzieję, że jako pracownikom organu rządowego uda się ^{sumo} ^{nam} ^{lat} ¹⁹⁴³ im w ostateczności przedostać do Warszawy. Z informacji uzyskanych w sztabie dowiedzieliśmy się, że najprawdopodobniej za kilka dni będzie po wojnie i wszyscy wrócimy do Włocławka.

Cała grupa nocowała w stodole. Ponieważ we wsi były gospodarstwa niemieckie postanowiliśmy, że w nocy będzie czuwała warta uzbrojona w dubeltówkę i pistolet. Mnie z bratem przypadła warta nad samym ranem. Zapamiętam ją na całe życie, ponieważ o mały włos zabiłbym brata. Zdarzenie miało miejsce około 6 rano, gdy w obozie zaczął się już poranny ruch. W chwili gdy kończyliśmy wartę wyjąłem z pistoletu magazynek, zapominając, że w lufie pozostał nabój. Bezmyślnie pociągnąłem cyngiel. Brat stał przy narożniku stodoły a ślad po kuli znaleźliśmy około 15 -20 cm. od jego głowy. Oczywiście był to widoczny dowód, że nie miałem wprawy w posługiwaniu się bronią, ale ^{konsekwencje} ^{były} ^{być} ^{straszne} ^{poważne}.

Tego dnia pan Olszewski udał się do sztabu 14 pułku, ale go już nie znalazł. W tej sytuacji prezydent miasta i kilku radnych postanowiło przebić się do Warszawy. Widziałem pożegnanie prezydenta z żoną. Rozkazy były tak ostre, że nawet żonie nie pozwolono jechać z mężem do stolicy. Po pożegnaniu prezydent Mystkowski odjechał służbowym chwoletem w kierunku Warszawy. Nie wiem jaki los spotkał prezydenta, ale ani w czasie okupacji, ani po wojnie nigdy już go nie spotkałem.

W tych dniach Niemcy starali się podejść pod Warszawę od strony zachodniej, natrafiając na umocnienia twierdzy Modlin. W tej sytuacji byliśmy zamknięci w kotle i nie było co marzyć o dostaniu się do Warszawy. Ostatecznie zrezygnowaliśmy z tego zamiaru i postanowiliśmy wrócić do Rakutowa. Na szosie niedaleko Rakutowa, dostaliśmy się pod ostrzał szrapnelami. Szczęśliwie wyszliśmy spod niego i dotarliśmy do domu, w którym zostawiliśmy rodziców. Dowiedzieliśmy się, że rodzice w związku z tym ostrzałem przenieśli się do Baruchowa, leżącego kilka kilometrów dalej na wschód od Kowala. Pojechaliśmy do Baruchowa i tam spotkaliśmy rodziców.

Jednak musieliśmy znów powrócić do Rakutowa, gdyż zostały tam nasze zapasy żywności, a my z bratem po nieudanej eskapadzie warszawskiej byliśmy bardzo wyголоdzeni. Wracając z żywnością (głównie smalcem), z Rakutowa mój brat zdecydował, że odwiedzi swoją narzeczoną, która ze swoją rodziną schroniła się w Michelinie, pod Włocławkiem. Odradzałem mu tę wyprawę, ale on się uparł i powiedział, że godzinę, półtorej wróci do Baruchowa. Zabrałem więc smalec i rowerem wróciłem do rodziców.

Brat dojechał tylko do cmentarza w Rakutowie i tam spotkał wojsko niemieckie. Żołnierze niemieccy zachowywali się spokojnie. Po zatrzymaniu, jeden z nich pokazał bratu, że chciałby zapalić papierosa. Ponieważ brat już palił, wyjął papierośnicę i poczęstował go. Oprócz tego żołnierza, poczęstował jeszcze kilku innych żołnierzy, aż w papierośnicy nie zostało nic. Wtedy z szeregu wyskoczył jakiś żołnierz i zażądał od brata roweru. Wywiązała się szarpanina, gdyż brat nie chciał oddać bezcennej rzeczy, jaka w tych czasach stanowił rower (zresztą dobrej firmy Kaganowicza z Łodzi na drewnianych obręczach z balonowymi oponami). Trwało to dobrą chwilę, aż do momentu, gdy nadjechał wojskowy samochód z oficerami Wermachtu. Jeden z nich widząc co się dzieje krzyknął coś do tego żołnierza i ten natychmiast wrócił do szeregu. Dzięki temu brat uratował rower, a cała przygoda zakończyła się bezboleśnie, choć mogła zakończyć się tragicznie.

Ja (ze smalcem wróciłem do Baruchowa. Widziałem w momencie, gdy gospodyni, u której zatrzymali się rodzice, wyrzuciła do drewnianej niecki ziemniaki dla świń. Wszyscy obecni w gospodarstwie włocławianie, wraz ze mną, rzucili się na te ziemniaki, jak na jakiś rarytas, nie patrząc na to, że ta niecka była brudna. Po raz pierwszy od kilku dni miałem okazję

zjeść coś gotowanego. Jedząc te ziemniaki patrzyliśmy na szosę, na której wozy i samochody spokojnie jechały w stronę Kowala. Nagle, wszystkie pojazdy zmieniły kierunek i zaczęły jechać do Gostynina. Obok nas, ścieżkami przejeżdżali rowerzyści, którzy także zaczęli uciekać w kierunku Gostynina. Zagadnałem jednego z nich, co się dzieje. Odpowiedział, że w Kowalu są już Niemcy. Zaprzeczyłem, bo sam przed chwilą byłem w Rakutowie i Niemców nie widziałem. Odpowiedział mi, jeśli chcę mogę sprawdzić to teraz. Uświadomiłem sobie, że mój brat jest na terenie zajęty już przez Niemców. Nie chciało mi się wierzyć, że może on być w niewoli. Wszyscy wrocławianie znajdujący się w obejściu zaczęli w pośpiechu szykować się do wyjazdu do Gostynina. Mój ojczulek także. A ja postanowiłem czekać na brata. W końcu ci co mieli rowery odjechali, a wraz z nimi mój ojczulek. W tym czasie zaczął padać deszcz, a nadal ja czekałem na brata. Po jakimś czasie wrócił mój ojczulek i namawiał mnie, żeby nie czekać, gdyż wszyscy już odjechali. Rzeczywiście, nawet na bocznych ścieżkach nie widać było uciekinierów. Zrobiło się dziwnie pusto i jakoś strasznie.

W tym gospodarstwie pozostał tylko jeden Polak, znajomy u którego później, w czasie okupacji, strzygłem się. Wziąłem go na ramę roweru i dojechalśmy, aż do przedmieść Gostynina. Teren był pofalowany a szczególnie w miejscu gdzie przebiegała szosa. W pobliżu drogi, po prawej stronie, stały duże stogi słomy. Wszyscy rowerzyści zatrzymywali się pod tymi stogami, żeby zapalić papierosa. Każdy przyjeżdżający opierał swój rower o postawione wcześniej rowery i zaczynał palić. W pewnej chwili, z za góry od strony Kowala pokazał się samochód ciężarowy oblepiony ludźmi, którzy coś krzyczeli. Byliśmy przekonani, że to jadą Niemcy. Każdy chciał złapać swój rower i uciekać, ale rowery były splątane i niedostępne, bo nikt nie przewidział takiej sytuacji i ogólnej paniki. W końcu udało mi się wyciągnąć mój rower. Przebiegłem szosę i zacząłem uciekać jak najdalej od tego zamieszania. Po drugiej stronie szosy było pole ziemniaków, w które wbiegłem na ok. 150 m i schowałem się między redlinami. Spodziewałem się, że Niemcy będą do nas strzelać. Okazało się jednak, że w tym samochodzie jechali ostatni uciekinierzy z Kowala. Po tym wydarzeniu spokojnie dojechałem do Gostynina odległego o około 2 km. W tym zamieszaniu zgubiłem mojego pasażera, którego wiozłem z Baruchowa. W jakiś czas potem, po powrocie do Wrocławka, spotkałem go i korzystałem z jego usług jako fryzjera.

W Gostyninie ^{znaleziono} spotkaliśmy naszych kolegów Leona i Kazika, którym nie udało się wyprawa do Warszawy. Od tej chwili pozostaliśmy razem do końca naszej tułaczki. Udaliśmy się okrężną drogą w stronę Gąbina. Za Gąbinem zatrzymaliśmy się w jakiejś stodole na nocleg. Był to czas walk nad Bzurą. Byliśmy świadkami, jak nasze ostatnie oddziały wojska wycofywały się niszcząc wszystkie mostki na polach i łąkach. Za naszym wojskiem posuwały się tłumy uciekinierów, którzy przekonani byli, że pod osłoną wojska będą bezpieczniejsi. Nad rejonem walk nad Bzurą co jakiś czas widać było pikujące samoloty szturmowe. W pobliżu polnej drogi, którą wycofywało się wojsko i tłumy uciekinierów, był niewielki las o powierzchni ok. 2 ha. W tym lesie ^{schroniło się} przebywało sporo uciekinierów. Zaobserwowali to piloci 2 niemieckich samolotów rozpoznawczych, którzy ^{stali na krótko w pobliżu tego lasu} wylądowali w rejonie tego lasu ^{oni} i prawdopodobnie powiadomili o tym lasu swój sztab. Niedługo potem przyleciały jeszcze dwa samoloty z nad Bzury i we czwórkę zaczęły ostrzeliwać i bombardować ten las. Było w nim sporo ludzi i można sobie wyobrazić jaką jatkę spowodowały te naloty. *nie miałem odwagi, aby obejrzeć tę masakra.*

My, tzn. nasza czwórka i jeszcze 2 wrocławiaków, którzy też nocowali w tej stodole, wyszliśmy z tej stodoly w momencie, gdy dwa pierwsze samoloty ^{rozpoznowcze} wystartowały z łąki obok drogi. Gdy dobiegaliśmy do pobliskiego gospodarstwa nadleciały 2 dalsze samoloty szturmowe. ^{dużo którego zbliżała się} Samoloty ostrzeliwały wszystko co się ruszało na ziemi. Gospodarstwo było od strony drogi ogrodzone kamiennym murkiem o wysokości ok. 70 cm. Nie zdążyłem schować się za ten murek, więc szukałem schronienia w krzakach bzu. W pośpiechu nie zauważyłem krowiego łajna i na nim się poślizgnąłem. Po nalocie musiałem się czyścić, co w tamtych warunkach, nie było takie proste. Oczywiście po nalocie, odbyliśmy naradę, czy nadal wycofywać się za wojskiem, czy wracać do domu. Z naszej szóstki, mój ojczulek był najstarszy i był za tym, żeby wracać do domu. Pozostali chcieli uciekać dalej. Ja także. Jednak po głębszym namyśle, zdecydowaliśmy się przyjąć propozycję ojczulka, bo tak naprawdę, to nie było gdzie uciekać. Już wszędzie byli Niemcy. Wróciliśmy do stodoly, z której wyszliśmy i postanowiliśmy w niej przenocować.

Pod wieczór na wzgórzu pojawiła się mała tankietka niemiecka z kolumną szturmową. Podjechała pod stodolę, wysiadł z niej oficer, który kazał nam wszystkim opuścić stodolę i spytał się kto z nas zna niemiecki. Wśród nas byli uciekinierzy z poznańskiego, byli także księża, którzy znali

język niemiecki. Oficer pozwolił nam przenocować w stodole a rano kazał wracać do domu i do pracy.

Po powrocie do stodoły dostałem dużej gorączki i dreszczy. Do dzisiaj nie wiem, czy był to efekt przeżyć ostatnich dni, czy też przeziębienie, którego nabawiłem podczas jazdy rowerem w deszczu, wioząc na ramie roweru znajomego. W tym stanie, spotkałem się z dużą życzliwością ludzi, którzy ofiarowali mi koce, żebym mógł się rozgrzać a nawet jakąś aspirynę i gorącą herbatę. Do rana wszystko minęło i rześki, wsiadłem na rower. Rano wyruszyliśmy do Włocławka tylko we czwórkę, bo na 2 rowerach więcej nas by się nie zmieściło. W czasie powrotu nasza czwórka, znalazła się na drodze, która w rejonie Gostynina przechodziła przez majątek, otoczony murowanym parkanem. Tu Niemcy urządzili punkt kontroli, w którym zatrzymywali Polaków w wieku od 20 lat do 40. Ponieważ ja miałem 18 lat, mój ojczulek miał 42 lata, a więc nic nam nie groziło. Natomiast moi koledzy byli w wieku, który upoważniał Niemców do zatrzymywania. Nas Niemcy przepuścili, natomiast ci koledzy obeszlili ten majątek na zewnątrz i z majątkiem spotkaliśmy się znowu. I w tym składzie wróciliśmy do Włocławka.

We Włocławku rozlepione były ogłoszenia nakazujące zdanie wszelkiej broni. Ja miałem nagana jeszcze z okresu I wojny światowej, a mój ojczulek miał 6 strzałowego straszaka. Nie chcąc oddawać Niemcom broni, poprosiliśmy babcię, którą poszła na most i wrzuciła ją do Wisły.

W drodze powrotnej do Włocławka, zrobiliśmy zabójczy nalot na Niemców i Polaków a stek nich leżał karabin. Byliśmy moralnie tak zdruzgotani tą kłopotą, że nie pomyśleliśmy nawet o ewentualnym ukryciu tej broni, ale były to nowe okoliczności i nie wiedzieliśmy jak się zachować a ze sobą zabrac jej nie mogliśmy, bo jak wyżej opisałem, byliśmy indywidualnie rewidowani przez żołnierzy niemieckich.

3. Praca w pierwszych miesiącach okupacji

Powrót do Włocławka z ucieczki, był dość trudny, bo wszędzie Niemcy rozlepili plakaty, które wzywały ludność polską do oddawania posiadanej broni. Mój ojczulek miał 6-strzałowego straszaka, a ja miałem 5-strzałowego nagana z czasów wojny polsko - bolszewickiej. Nie chcąc zdawać broni Niemcom, poprosiliśmy ^{Francję} naszą babcię, aby wyrzuciła naszą broń z mostu do Wisły .

Mój ojczulek z chwilą wybuchu wojny, powołany został do Służby Przeciwlotniczej. Służba ta nie miała zbyt dużo pracy, gdyż Włocławek nie był w tym okresie zbyt często bombardowany. Ojczulek, nudząc się podczas tej służby, zaczął wykorzystywać swoje talenty pisarskie i napisał kilka wierszy ośmieszających Hitlera. Nie widziałem ich, ale znajomi ojca z tej służby twierdzili, że były dowcipne. Ten, kilkudniowy okres służby wypełnionej pilnowaniem nieba nad Włocławkiem i oddawaniem się paszkwilanckiej muzyce trwał, aż do naszej ucieczki z Włocławka do Rakutowa. Efektem tych spotkań ojczulka z muzą było kilka dość dowcipnych wierszyków.

Traf chciał, że pewnego dnia samoloty niemieckie, ^{zamiast imygnu} zbombardowały budynek Wodociągów i Kanalizacji przy ul. Kilińskiego, w którym mieścił się posterunek Służby Przeciwlotniczej. Narożnik budynku został zniszczony, a kartki z wierszykami pisanyymi odręcznie przez ojca rozleciały się po okolicy. Na czas nalotu Służba Przeciwlotnicza zgodnie z instrukcją uciekła do schronu. Po wyjściu ze schronu wszyscy byli pod wrażeniem nalotu i nie pamiętali, czym się zajmowali przed nalotem. Nikt też nie myślał o ratowni katek z wierszami, ani o ich szukaniu. Stąd też zachwył nad talentem poetyckim i poczuciem humoru twórcy mógł być dostępny szerszym rzeszom czytelników - znalazłom rozniesionych podmuchem katek. "Zasięg" tej twórczości i jej ewentualnych następstw uświadomił sobie ojczulek po wkroczeniu Niemców do Włocławka. Pierwsze tygodnie wojny były oczekiwaniem na skutki tej ryzykownej twórczości. Przez to cała nasza rodzina spędziła kilka nieprzespanych nocy i dość gwałtownie reagowała na każde nieoczekiwane pukanie do drzwi.

Ukoronowaniem tego okresu (początek października) było urzędowe wezwanie ojczulka, aby stawił się w Stadt Verwaltung /Zarząd Miejski/ na

41
ulicy Karnkowskiego. Pełen najgorszych przeczuć, ze świadomością, że ktoś usłużny znalazł te wiersze i dostarczył nowej władzy, ojczulek wyznaczonego dnia poszedł do Zarządu Miejskiego, *z duszą na ramieniu.*

Na szczęście, nowe władze miasta miały do ojczulka inną sprawę, ale świadomość, że ktoś niepowołany może zapoznać się, nawet przypadkowo, z tą twórczością jeszcze długo towarzyszyła ojcu w jego kontaktach zawodowych z Niemcami. Ojczulek, jako właściciel znanej z solidności przedwojennej firmy budowlanej, był Niemcom bardzo potrzebny. Chcieli oni uruchomić we Włocławku przedsiębiorstwo budowlane i widocznie któryś z lokalnych Volkdeutsche, znający firmę ojczulka przed wojną, polecił ją niemieckim władzom miasta. Niemcy zmusili ojczulka, aby natychmiast uruchomił przedsiębiorstwo i podjął roboty remontowo - budowlane.

Ojczulek zgodził się, gdyż nie miał innej możliwości. Miał także wiarę w to, że Niemcy kiedyś stąd odejdą a budowle pozostaną. Więc nie należało im odmawiać mimo różnic w motywacji: Niemcy byli przekonani, że będą powstawały budowle niemieckie na zdobytych terenach, a ojczulek ze swoją wiarą uważał, że przyszłą Polskę można budować od zaraz. Ta decyzja miała swoje dodatkowe plusy. Po pierwsze, jako młody - podlegający wywózowi na prace przymusowe do Niemiec - człowiek, mogłem być zatrudniony u ojczulka jako pracownik fizyczny lub umysłowy i wówczas nie podlegałem pod to zażądanie. Po drugie ~~to~~ ojczulek miał zajęcie a to dawało nam środki utrzymania do życia. Chętnych do pracy w kraju było dużo, bo ci którzy pracowali, nie byli wywożeni na roboty do Niemiec. Ojczulek zatrudnił, oprócz mnie, ~~także mojego brata (technik budowlany) i jego kolegę szkolnego, Albina, który był krewniakiem jego żony.~~ *kollegę mojego brata - Bęreckiego*

Pierwszą robotę jaką wykonywaliśmy z Albinem było układanie płyt chodnikowych, przy szkole na ul. Toruńskiej. Pracując razem ponad rok, zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. Albin był już po wojsku i brał udział w kampanii wrześniowej. Dostał się do niewoli niemieckiej, gdzieś w rejonie Płocka. Udało mu się uciec stamtąd jakimś kajakiem, którym nocą przyplłynął do Włocławka (obecnie żyje w Kanadzie, ożeniony z holenderką). Nasze wojenne losy dzieliliśmy razem, pracując w firmie ojca między innymi przy remoncie kapitalnym Banku Narodowego przy ul. Kościuszki, więzienia włocławskiego przy ul. Karnkowskiego oraz na innych drobnych zleceniach.

Ten stan trwał do końca 1940 r. Z ^{koncem} początkiem 1941 roku przedsiębiorstwo ojczulka, przejęła niemiecka firma budowlana, a ojczulek ~~mój mógł zostać~~ zatrudniony w charakterze vorarbeitra. Firma ta zabrała cały sprzęt, stanowiący własność ~~firmy~~ ojca. My z Albinem jako nie przydatni dla tej firmy, musieliśmy szukać pracy w Arbeitsamcie. Ja miałem jako zawód (wpisane) kreślarz + ślusarz, natomiast Albin podał swój zawód jako kreślarz + murarz. Zostaliśmy skierowani do Grundstück Gesellschaft /Urząd Ziemi /

Zgłosiliśmy się na ul. Żabią, gdzie przyjął nas szef w mundurze gestapowca. Zaproponował nam pracę w charakterze kreślarzy, ale w Ciechocinku. Nie było wyboru i trzeba było się zgodzić, lub szykować się na wyjazd do Niemiec. Pracę w Ciechocinku rozpoczęliśmy 6 stycznia 41 r. Warunki były, jak na owe czasy dobre bo dostawałem 118 RM. miesięcznie, z tego za mieszkanie i utrzymanie płaciliśmy 90 RM.

Zamieszkaliśmy w cichocińskiej willi, która nazywała się "Wild II" (obecnie już nieistnieje), we trójkę. Dobraliśmy sobie kolegę ^{z Włocławka liceum} z Długosza, Jurka Wojciechowskiego, który pięknie deklamował Mickiewicza. W sobotę, po pracy, jeździliśmy wszyscy do Włocławka. Nasze ^{pracowni} biuro w Ciechocinku mieściła się w oficynie. Zadaniem cichocińskiej filii była inwentaryzacja i ^{zobowiązanych dla urzędu nieruchomości} odnowienie miasta dla potrzeb niemieckich firm wypoczynkowo - turystycznych. Cichocinek otrzymał w związku z tymi planami niemiecką nazwę Hermansbad. Normalny dzień pracy polegał na tym, że codziennie chodziliśmy na pomiary inwentaryzacyjne posesji i sporządzanie ^{niekiedy} planów urbanistycznych. Pracowało nam się dobrze, ^{czasie} po czasie pracy ^{gry} często spędzaliśmy czas na uprawianiu sportu, np. graliśmy w hokeja ^{borowego, korzystając z przyrządów do gry, które stały nie używane w zamkniętych sanatoriach, które chwyciliśmy dla dokonania pomiarów.} w biurze

Od pewnego czasu w biurze pojawiła się plotka, że część kreślarzy ma być przeniesiona do Poznania, gdyż tam brakuje kreślarzy.

Brakuje ciągu dalszego do chwili aresztowania.

Nie zolizowała więc nas pracowników, wizyta 2 zandoltnów w biurze, sądziliśmy, że to w związku z wyjazdem do Poznania. Niestety okazało się, że wszyscy myliliśmy się szczególnie Albin i ja.

24.07.96

4. Aresztowanie

W dniu 23. 03. 41 r. do ciechocińskiego biura przyszło 2 żandarmów. W chwilę później przyszła sekretarka i wezwała mnie z Albinem do szefa. Poszliśmy nie podejrzewając podstęp. Zapukaliśmy do pokoju szefa. Weszliśmy, mimo iż za biurkiem nie było nikogo. Chcieliśmy cofnąć się i wówczas okazało się, że za nami stali żandarmi z szefem. Jeden z żandarmów powiedział, że jesteśmy aresztowani za przynależność do organizacji podziemnej. Ponieważ do żadnej organizacji nie należałem odruchowo powiedziałem, że to nieprawda. Na to on krzyknął: "halte schnauze /zamknij gębę/. Od tej chwili w przypadku ucieczki będę strzelał bez ostrzeżenia". Zakuli nas w kajdanki i odprowadzili do aresztu w Ciechocinku, który mieścił się w pobliżu dworca kolejowego.

Areszt ten przerobiony był ze stajenek i mieścił się na zapleczu biura przyjęć. Około godziny 11, po odebraniu nam wszystkich drobiazgów i spisaniu ich, zostaliśmy odprowadzeni do oddzielnych celi. Volksdeustch, który nas odprowadzał do celi, wyzywał nas od inżynierów i bandytów, a przy tym pozwolił sobie nas kopać, złorzecząc nam przez całą drogę. Około godz. 14 pojawił się ponownie, aby wypuścić nas do ubikacji. Pierwszy został wypuszczony Albin, ale tak go poganiał, że ja zrezygnowałem w ogóle, chociaż mój pęcherz nie wytrzymał, więc w międzyczasie korzystając z roztopu śniegu załatwiałem się poprzez spaczne drzwi. Ponieważ z dachu kapłała woda z topniejącego śniegu, to wszystko razem wymieszało się i nie budziło podejrzeń volksdeutscha. Gdyby nie było roztopu, to on za Tę "ubikację" załukł by mnie w tej celi. Słowem uratował mnie roztopniejący śnieg. 55555555555555555555

Około godz. 15 przyjechał po nas z wrocławskiego Gestapo samochód marki Opel -Admiral. Nazwiska kierowcy nie znałem, ale nosił przezwisko „Bałtyk,” prawdopodobnie był to Baltendeutsch, natomiast odpowiedzialny za transport był Szejke, były woźny w szkole podstawowej, przed wojną a obecnie gorliwy pracownik Gestapo. Wspominałem o tym, że remontowaliśmy Narodowy Bank Polski w 1940 r. Otóż do tego banku przychodził często Szejke po pieniądze, dla Gestapo. Mój ojczulek znał go sprzed wojny, jako woźnego w szkole, w której wykonywał remont. Ponieważ w banku i ja pracowałem z Albinem, to przy jakiejś okazji ojczulek poznał nas z nim. My już wtedy wiedzieliśmy, że on pracuje w Gestapo, ale udawaliśmy, że nic nie wiemy. I teraz spotkaliśmy się, ale Szejke już nie jako znajomy, ale jako przeciwnik. Jak wszedł do biura,

gdzie na niego czekaliśmy, to powiedział „heil Hitler” i poprosił o nasz depozyt. Wręczono mu nasz depozyt, pokwitował go, skuł nas obu kajdankami żegnając się, ze swoimi ziomkami ponownie pozdrowił Hitlera. W samochodzie "Bałtyk" prowadził, a Szejke siedział między nami, żebyśmy nie mogli się porozumiewać. Tak mocno zacisnął mi kajdanki, że ręka stała się sina a ja nic nie mówiłem, , dopiero Albin zauważył to i zwrócił mu uwagę a on zaraz poluzował mi kajdanki i wkrótce ręka wróciła do normy.

Jadąc po drodze do Włocławka, Szejke wstępował do przydrożnych gospodarstw polskich i wymuszał nabiał, masło i t. p. Raz wyszedł z gospodarstwa z pistoletem w ręku i jak wszedł do samochodu, to powiedział, że nie chcą nic dawać, ale jak zobaczą pistolet, to miękną. . Nas nazywali Niemcy bandytami, w tej sytuacji nie wiem, , kto był naprawdę bandytą.

Nie dojeżdżając do Nieszawy jakiś kolega gestapowców Bruno, posiadał zabrane polakom gospodarstwo rolne. Otóż Szejke postanowił odwiedzić kompana. Zajechaliśmy do tego gospodarstwa, gdzie byli w nim rodzice tego Bruna. Gospodyni zakrzętnęła się przy przygotowaniu poczęstunku a Szejke rozłożył nasz depozyt i zaczął wybierać z naszych rzeczy, to co mu się podobało. Jeszcze w 1940 r. dostaliśmy od ojczulka jednakowe scyzoryki, które sobie zagarnął. U mnie znajdował się komplet Pelikana t. j. ołówek i pióro ze złotą stalówką, wartości 27 RM. Tego to on nawet nie oglądał, to było dla ważniejszych niż on.

Wreszcie gospodyni przygotowała posiłek, wtedy Szejke wyciągnął butelkę wódki i zaczęła się libacja. Prawdę powiedziawszy gospodyni zapytała, czy nam dać coś do jedzenia, ale Szejke odpowiedział, że nam już nic nie potrzeba. Zabrzmiało to groźnie. W czasie ich posiłku Albin musiał się załatwić, to nie rozkuli nas, tylko musiałem mu asystować. Po skończonej libacji ruszyliśmy do Włocławka, zabierając z sobą synka Bruna, który siedział obok kierowcy. Dziecko prawdopodobnie nie zdawało sobie sprawy, że jesteśmy więźniami i w czasie jazdy chciało nas poczęstować cukierkami. Odpowiedziałem, że dziękuję i że nie mam nastroju do cukierków. Wtedy odezwał się Szejke, że nie ma co się martwić, tylko mówcie prawdę, to zaraz was wypuszczą.

Gdy stawaliśmy przed budynkiem Gestapo i wysiadaliśmy z samochodu, po drugiej stronie ulicy szedł kolega Albina, który nas widział. Podstawił kołnierz jesionki i przeszedł dalej, ale zaraz dał znać rodzinie Albina a rodzina Albina zawiadomiła moją rodzinę. Ponieważ

przyjechaliśmy około 5p. p., to nas krótko pytano ; najwpierv pytano Albina a później mnie, ale ponieważ było już późno, to dalsze badania odłożono na następny dzień.

Odprowadzili nas skutych do aresztu, który mieścił się na rogu pl. Wolności i ul. Kaliskiej /w obecnym starym Domu Towarowym /. Tam był długi korytarz, na końcu którego znajdowały się 2 cele. W jednej celi siedziała samotnie jakaś kobieta, jak się dowiedziałem polka wmieszana w sprawę o z hańbienie rasy. My trafiliśmy do celi zbiorowej, w której było razem z nami 5 osób. Cella była nie oświetlona i ktoś w ciemnym kącie pojękiwał. Odczekałem jakiś czas i zwróciłem się do tego pojękującego, czym można mu pomóc. Obecni w celi powiedzieli, żebym dał mu spokój, bo jest on mocno zбитy. Cella była ciasna i całą noc przespaliśmy na ławkach siedząc. Rano ten zбитy więzień o nazwisku Gostyński pierwszy zerwał się do ubikacji, która mieściła się na korytarzu. Przed ubikacją ustawiła się kolejka a on nie wychodził. Wreszcie wachman zainteresował się sprawą i kazał zajrzeć do ubikacji od góry. Okazało się, że ten zбитy człowiek, poderżnął sobie żyły i dlatego nie wychodził. Od góry otworzono drzwi z haczyka i wynieśli go więźniowie omdlałego człowieka. Zaraz przyjechał samochód i zawieźli go do szpitala miejskiego, gdzie dzień i noc pilnował go wachman.

Na drugi dzień około 10 rano, przyszedł po nas Szejke, zakuł nas w kajdanki i poprowadził do Gestapo. Na pl. Wolności stała moja mamusia i bezsilnie patrzyła się, jak skutych prowadzi nas Szejke do Gestapo. W czasie badania Szejke otworzył jedną z szaf, w której wisały różne rodzaje batów i spytał, który sobie wybieram. Muszę przyznać, że to był trudny wybór. Pokazali mi plik gazetek i spytali, które czytałem. W międzyczasie przyszedł Frank szef Gestapo i zaczął przeglądać mój depozyt. Oczywiście spodobał mu się komplet Pelikana, więc schował go sobie do kieszeni munduru i sobie poszedł, tak jakby wiedział, że znajdzie tu coś wartościowego.

Wracając do przesłuchania, zaprzeczyłem że czytałem te gazetki, wtedy oni powiedzieli, że mają świadka, który wie, że czytałem, ten co doręczał mi te gazetki. Mogła to być prowokacja, ale mogła być też prawda. Poza tym pytali, kto jeszcze czytał te gazetki. Oczywiście te gazetki czytali moi znajomi, ale do tego się nie przyznałem. Chociaż gestapowcy wmawiali mi, że wszystko wiedzą i nie bardzo chcieli uwierzyć, że nikomu do czytania tych gazetek nie dawałem. Tym bardziej, że na każdym egzemplarzu, było napisane 'podaj dalej "Cały czas

myślałem jak się wymigać się od przyznania się, że czytałem, ale czas nieubłaganie biegł a mnie nic rozsądnego do głowy nie przychodziło. Poza tym nie zdawałem sobie sprawy z konsekwencji przyznania się do czytania gazetki. ^{Wydawało mi się, że to błaża sprawa.} Wydawało mi się, że to błaża sprawa. Sprobowałem zaprzeczyć, to jeden z gestapowców pokazał mi szafę z batami. Nie miałem czasu do namysłu i przyznałem się, do czytania kilku gazetek. Widocznie w podobnej sytuacji był Albin, bo też został ^{zatrzymany} skierowany do obozu. Ciekawe, że na temat zeznań nigdy z Albinem nie rozmawialiśmy, bo zdawaliśmy sobie sprawę, że na bohaterów nie wyszliśmy, ale trudno było coś wymyśleć, w co gestapowcy uwierzyliby. Zaraz spisano protokoł, odczytano mi go, podpisałem i od tej chwili Gestapo na mi nie interesowało się. Wraz z Albinem odrowadził nas Szejke do aresztu, do chwili wyjazdu do obozu, przebywaliśmy w areszcie na placu Wolności. W każdą sobotę w południe odwoziło Gestapo aresztowanych w ciągu tygodnia więźniów. ^{w sobotę} Znowu przyszedł po nas Szejke zakuł nas i odprowadził do Gestapo. Przy wejściu do Gestapo czekała moja babcia, która podała mi owalną szklaneczkę do zębów i ręczniczek. Wszystkich aresztowanych zgromadzono w małym, wąskim pokoiku na drugim piętrze, gdzie przyprowadzali aresztowanych z aresztu i z więzienia. Zgromadziło się nas 21 osób - W celi zrobiło się ciasno. Około 1 p. p. zaczęto wyprowadzać nas po pięciu z celi., do samochodu wojskowego -- ciężarówki. Staralem się zostać w ostatniej grupie, jakby to miało jakieś znaczenie. Wydawało mi się, że w ten sposób bronię się przed nieznanym. Przyszła kolei na ostatnią grupę. Na każdym podeście stał gestapowiec z pistoletem maszynowym, którym popychał schodzących więźniów. Ja byłem ubrany w kożuszek przed kolana i w bryczesy, oraz długie buty. Ponieważ Niemcy wysiedlali nocą Polaków nie dając ze sobą nic zabrać, więc rodzice zabezpieczyli nas z bratem, w ciepłe ubiory, ^{przed zimą.} abyśmy w przypadku nagłym, byli odpowiednio zabezpieczeni. Zresztą wielu Polaków w tym czasie, chodziło w długich butach, to było i modne i wygodne. Otóż schodząc po schodach byliśmy popychani przez gestapowców ^{pistolecikami maszynowymi} karabinami, ale gruby kożuch osłabił te uderzenia. Gestapowcy korzystali z okazji i wszystkich schodzących ^{pistolecikami} popędzali karabinami. Wreszcie wyszliśmy z budynku a do samochodu było z 5-6 m. Tylne klapy były opuszczone a przy niej 3 gestapowców obsługujących więźniów. Tak się zdarzyło, że bryczesy uniemożliwiły mi zadarcie nogi nad klapy i zaraz pomógł mi jeden z gestapowców ^{pistoletem maszynowym} karabinem, waląc mnie w nerkę. Natycmiast ^h znalazłem się w samochodzie, jako ostatni, co miało dla mnie przykre ^{niebezpieczne} skutki. Zanim

samochód ruszył, kazano nam wszystkim uklęknąć przy szoferce, na powierzchni 1/3 powierzchni podłogi samochodu, t. j. od szoferki do pierwszego łańcucha. Jednocześnie kazano nam zdjąć czapki. Przy tylnej ścianie samochodu ustawiono 2 ławeczki, na których usiadło 4 gestapowców z karabinami. Zatrzymaliśmy się przy rozlewni wód Bauera na rogu Brzeskiej i Cyganki, gdzie obsługa zabrała do samochodu 3 skrzynki, chyba lemoniady. Ruszyliśmy i od tej chwili, jeden z gestapowców zwany przez nas " Kwiat Lotosu" podszedł do nas i zapytał kim oni są? Zapytany więzień, starszy człowiek Józef Tomaszewski odpowiedział, że oni są armią niemiecką a on mu odpowiedział, że oni nas zaprowadzą do Churchila. I od tej chwili zaczął bić po kolei. Najpierw bił młodego drukarza i w miarę jak się rozgrzewał dobrał się i do mnie. Rękę miał ciężką / bo to był rolnik w Polsce wychowany - volksdeutsch /, i mówił dobrze po polsku. Zaczął mnie bić po twarzy, z początku starałem się unikać jego ciosów, ale miałem ograniczone ruchy, bo do tyłu nie mogłem się cofnąć, bo za mną klęczeli inni więźniowie. Trwało to do momentu, , gdy poczułem na ustach krew. Od tej chwili było mi wszystko jedno i wszystko stało się obojętne, prawie nic nie czułem. A gestapowca przestało to bawić i zabrał się do bicia innego więźnia. *→ Oni lubili patrzeć mi męczarnie człowieka a gdy nie reagował nie bił, a jak zemelał, to już ich nie bawilo* W międzyczasie wróciłem trochę do siebie i czując krew na brodzie, sięgnąłem po chusteczkę chcąc się obetrzeć. W momencie kiedy się obcierałem, on spojrzał na mnie i nasze oczy spotkały się. Widocznie mój wzrok był wrogi, bo gestapowiec bijąc tamtego więźnia powiedział do mnie, "ty jeszcze nie dostałeś " a ja mu na to zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że już dostałem. A on " spytał od kogo Odpowiedziałem, od pana. Zdziwił się i mówi ",ode mnie, no to zobaczysz jak ja biję". Wrócił do mnie i poprawił swoją robotę. Nie widziałem jak wyglądam, ale cała twarz mnie paliła i czułem, że mam grube wargi. To jeszcze nie koniec mojej gehenny. We wsi Zakrzewo gestapowcy zatrzymali się na śniadanie, przy jakimś wiejskim sklepiku. Trwało to około 1/2 godz. i po tym nastąpiła zmiana, ten zmęczony gestapowiec poszedł do szoferki a przyszedł wypoczęty wachman, który wybrał mnie do następnej rozrywki. Gdybym był na jego miejscu, też bym tak zrobił, bo wyglądałem strasznie, więc prawdopodobnie, byłem najgorszy. Ten wachman ustawił po środku samochodu jedną z ławek i kazał mi się położyć na niej. Odpiął pas i zaczął mnie okładać. Byłem bardzo zmartwiony moją twarzą, więc nie myślałem o moim siedzeniu i to mnie uratowało, bo wachmana nie bawilo to, że tak spokojnie się zachowuję i mnie puścił na miejsce. Dobrał sobie następnego delikwenta, który go bawilo, bo dał się w niebogłosy. Tak

dojeżdżaliśmy do obozu przejściowego w Inowrocławiu. Przed samym obozem gestapowcy kazali nam się oczyścić, jeden drugiego tak, żeby nie było znać, że byliśmy bici. Więźniowie wzajemnie czyścili się, zgodnie z rozkazem. Dojeżdżaliśmy do obozui wtedy jeden z gestapowców powiedział ironicznie po polsku, że wjeżdżamy do rajy i w tym czasie samochód złowieszczo zakołysał się w bramie wjazdowej do obozu, bo obóz był w końcowej fazie budowy i w bramie nie były jeszcze ukończone wykopy.

4.1. Okoliczności mojego aresztowania na C 14.09.1964,



wzupetnowe
24.02.96
przejscie wym

5. Obóz w Inowrocławiu

Samochód nasz zajechał na plac ćwiczeń w obozie w Inowrocławiu. Jak się później okazało plac ten był miejscem ^{ćwiczeń} tzw. "egzecerek", z którymi mieliśmy się dopiero zapoznać. Teren tego boiska był ^{naturalnie} gliniasty a gestapowcy nie opuścili tylnej klapy w samochodzie, więc musieliśmy skakać z wys. ^{ok. 2 m.} 2 m. w tą glinę. Jeśli ktoś zaważał się, to gestapowcy sychali go karabinami, tak że nie uniknął swego losu i wylądował w glinie. Ci którzy mieli półbuty, to zostawili je w glinie. Oczywiście było trochę bijatyki ^{wym} w czasie, gdyż na boisku czekali inni gestapowcy i komu skok z samochodu nie udało się, to oni mu pomogli. Potem ustawiono nas przed barakiem administracji obozowej, bez czapek i czekaliśmy na deszczu ze śniegiem ponad 2 godz. Za nami chodził gestapowiec z pejczem, który pilnował, abyśmy się nie rozglądali. Do pasa mieliśmy mokre koszule, ale im nie spieszyło się. Przez cały czas, jak staliśmy przed barakiem, zastępca komendanta obozu chodził w swym biurze z fajką w zębach i co rusz ją wyjmował i spluwał na podłogę, spoglądając na nas. Nie wróżyło to dla nas nic dobrego, widać było wrogie nastawienie. Wreszcie po godz. 15 ^{t.j. po określ. czasie} p.p. zaczęto nas rejestrować, kolejno w/g alfabetu. Nie wiem jak przyjmowani byli inni więźniowie, ale podam, jak to było ze mną. Otóż intrygowało nas, że przy słupku baraku stał gestapowiec, między dwoma drzwiami, który wpuszczał więźniów do rejestracji a gdy wychodzili stamtąd, wpuszczał ich do sąsiedniego pomieszczenia, z drugiej strony słupka, skąd wszyscy bez wyjątku wylatywali w pośpiechu. Doczekałem się mojej kolejki, wywołali mnie. Gestapowiec wpuścił mnie do środka, stanąłem na baczność a zastępca komendanta pyta "nazwisko podałem a on pyta" gdzie się urodziłeś "odowiedziałem we Włocławku. A on rzucił pióro na stół i podzedł do mnie i kopnął mnie w siedzenie i spytał, "gdzie się urodził", odpowiedziałem w Leslau i to go zadowoliło. / bo była to niemiecka nazwa Włocławka. Ten zastępca komendanta dobrze mówił po polsku, bo też był volksdeutschem. Po zapisaniu mego miejsca urodzenia, kazał mi wyjść. Wyszedłem na zewnątrz baraku i zaraz ten gestapowiec przed drzwiami skierował mnie do pomieszczenia obok, gdzie jak się okazało była sala przyjęć ^{do obozu}. W tym czasie była jeszcze ta sala nie urządzona, ale już była czynna prowizorycznie. Stało w niej 2 gestapowców mego wzrostu, jeden z nich złapał mnie za włosy i wsadził moją głowę między nogi a drugi pejczem przyjmował mnie do społeczności obozowej. Trwało to kilka minut, wreszcie mnie puścił i bil

k

[Handwritten notes in the margin:]
 w którym w obozie wyznaczono chleb
 Tak naprawdę to ja przecież urodziłem się we Włocławku a nie w Leslau. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że to były wytyczne Gestapo, aby gdzieś można dokazać więźniów. I dokazali. gdzie tylko mogli

tym pejczem aż do drzwi .Kazali mi lecieć na sztabę 6.Od tej chwili wiedziałem już ,po co ten gestapowiec stał przed drzwiami baraku . Sztuba 6 ,to była ostatnia sztuba w baraku dla więźniów^{mężczyzn.} Leciałem na przelaj przez tą glinę , byle dalej od tych drani. Doleciałem do tej sztaby a tam dyżurny więzień,

otworzył drzwi do sztaby . Był zarośnięty i brudny. Staliśmy w przedpokoju sztaby o wym. 1x1m.Pytam, czy tam też biją. Odpowiedział , że nie biją i wprowadził mnie do sztaby. Nie zapomnę obrazu jaki zobaczyłem do końca mego życia .Przede wszystkim było brudno i niesamowity zaduch . Nic dziwnego ci ludzie , jak długo siedzieli w obozie nigdy się nie myli .W tym czasie był w sztabie czas na golenie , które wykonywał jeden z więźniów , Wtedy miałem okazję zobaczyć siebie w lusterku u fryzjera , jak wyglądam .Otóż uszy miałem jak kalafiory a całą twarz posiniaczoną. Mój kolega Albin stał obok mnie i mnie nie poznał , tak byłem zmieniony. Ponieważ on znalazł już sobie miejsce do spania , krzyknął do mnie po imieniu a ja mówię , czego krzyczysz? a on spojrzał na mnie i mówi trudno ciebie poznać . Niestety nie udało mi się znaleźć miejsca^{do spania} koło niego ,ale na szczęście zabrałem kromkę chleba z celi w areszcie we Włocławku ,na wszelki wypadek , bo nikt nam nie mówił ,gdzie jedziemy I o to znaleźliśmy się w obozie. Nie miałem chęci na ten chleb , bo te przeżycia nie pozwalały myśleć o jedzeniu, więc wyjąłem tę kromkę z kieszeni i zapytałem kto chce . Nawet nie zauważyłem ,kto ją porwał ,ale on sam się zgłosił mówiąc ,że obok niego jest miejsce do spania .W ten sposób zdobyłem miejsce do spania. Naprzeciw baraku dla mężczyzn , po drugiej stronie placu ćwiczeń , znajdował się barak dla kobiet. Między tymi barakami pobudowana była latryna dla mężczyzn. Muszę przyznać się ,że przez tydzień, nie załatwiałem się , bo położenie tej latryny było krępujące.Nawiasem mówiąc , nie było poczym się załatwiać

Teraz należałoby opisać nasze lokum. Otóż każda sztaba , miała wymiary 6x6 m. i zasiedlało ją 68 więźniów t.j., tylu więźniów było na sztabie 6 .Przy każdej przeciwległej ścianie znajdowały się piętrowe prycze, na których winni pomieścić się wszyscy więźniowie ,ale kilku więźniów spało na podłodze. Poza tym nasze sztaby miały sufit wykończony płytami cementowo- wiórowymi, z których sypał się cement i piasek. Na noc nie wolno było otwierać okien a nie było żadnej wentylacji, więc leżeliśmy wszyscy we wspólnym pocie, przyklejeni jeden do drugiego. Noce były bardzo duszne i dokuczliwe , dzięki pluskwom ,wszom , pchłom i zaduchowi .Nasze prycze wykonane były z obladrów t.j. desek o nie

obrobionych bokach i nie jednakowej grubości, co powodowało ,że pod ciężarem . człowieka nierównomiernie uginały się w związku z czym spanie było bardzo niewygodne .W momencie kiedy przybyliśmy do obozu na tych obladrach leżały resztki zdużanej słomy i na naszą prośbę Starszy sztuby zgłosił to Administracji obozu . Administracja kazała usunąć tę słomę i przyrzekła ją wymienić .Byłem w obozie do 11 września i jej nie wymieniła ,więc spaliliśmy na samych deskach.

Warunki bytowania w obozie były przerażające . Od końca marca 1941 r. do prawie połowy września, ani razu nie kąpaliśmy się; gorzej na stan więźniów w tym czasie 500 osób przywożono beczkowitzem 250 l. wody na cały dzień Ta woda miała starczyć do picia i mycia, z tym że kurek był uszkodzony i nie dano nam klucza do otwierania kurka . Byli tacy specjaliści wśród więźniów ,że za pomocą 2 kawałków drewna odkęcali ten kurek, i woda potrzebnie ,czy nie potrzebnie leciała ,aż beczkowitz opróżnił się. Ja chcąc zdobyć trochę wody wstawałem około godz. 5 rano i nabierałem wodę w szklankę do mycia zębów i to starczało na codzienną toaletę, po prostu wodę ze szklanki brałem do ust i w ten sposób myłem się. W obozie nawet nie było umywalni. Gorzej myśmy nie mieli ani kubka ,ani łyżki , ani koca ,nic co w codziennym życiu jest nieodzowne .

k. w. r. k. t. o. l.

Pisanie listów do domu odbywało się następująco: w ^{czwartek} maju przyszedł wachman i przyniósł jedną kartę pocztową, na 68 osób .Powiedział ,że on rzuci tę kartę i kto ją złapie , ten będzie mógł napisać do domu. Szczęście to przypadło mnie , przypuszczam że dlatego , że byłem dość wysoki 1, 85 m.Oczywiście kartę tą wysłałem i rodzice dowiedzieli się ,gdzie jestem . Oprócz tego wysłałem do domu t. zw. gryps przy pomocy wrocławianina , który pracował jako ^{dekarz} w Zakładach Solankowych w Inowrocławiu i smarował ^{dekarze} smołą dachy .Początkowo więźniów politycznych nie wypuszczano poza obóz , ale ponieważ brak było ludzi do pracy a za pracę więźnia dobrze płacono,więc w końcu i nas też wypuszczono.Z grupą ^{kolonistów} ładowałem do piecy węgiel w Zakładach Solankowych.Znaleźliśmy chwilę ,że wachman nas nie widział i wtedy spytałem tego wrocławianina , czy zawiezie do rodziców list . Zgodził się i dałem mu list do rodziców . Z widzenia trochę go znałem ^{nazwywał się} , więc myślałem, że wywiąże się po ludzku. Niestety , był to zwykły łobuz ,który wykorzystał sytuację , poszedł do rodziców ,odebrał dla mnie paczkę i dostał dla mnie 20 R.M. Paczkę w poniedziałek dostarczył mi a pieniądze powiedział , że przegrał w karty i przy okazji mi odda . Oddaje do dzisiaj.Po wojnie spotkałem go ,on udaje ,że mnie nie zna . Kanalia !

Chmielewski

kosztadunek węgla na stacji PKP

Nie zawsze praca należała do przyjemności. Kiedyś, chyba w czwartek zastąpiłem poprzedniego do komendy szkodliwego wyjazd bezpośrednio z wagonów na rampę. Muszę przypomniać, że pracowaliśmy we własnych ubraniach, które były dla nas ubraniami w dzień a nocą. Byłem awersztawany w garniturze i z beżowej pepitki, a bryty węgiel i były tak wielkie, że aby wyrzucić je na rampę, musiałem tę bryłę opierać na plecsiach a następnie wypchnąć ją w górę na rampę wsglową. Te ubrania były 30 tonowe a na każdy wagon przydzielano 3 wężki i a więc te ręcznie 10 ton na 1 go wagon. Gdyby to był węgiel

Kiedyś przed Wielkanocą dostaliśmy pracę przy oczyszczaniu cegły . Chciałbym tu podkreślić wyjątkową ofiarność mieszkańców Inowrocławia .Na placu ,gdzie czyściliśmy cegłę, zobaczyła nas polka , żona kolejarza. Była praczką i prała bieliznę dla żołnirzy niemieckich. Otóż ona , jak zobaczyła że pracujemy, to codziennie przynosiła nam dzbanek kawy z mlekiem i sporo chleba ,tak , że starczyło po kawałku dla 15 osób. Na pewno jej się nie przelewało ,ale starała się codziennie to jedzenie przynosić.Umiała dość dobrze po niemiecku i jak jakiś wachman nie chciał się zgodzić na podanie jedzenia, to go tak długo zagadywała , aż w końcu zgodził się Prostrza sprawa była jak nas pilnował jeden wachman ,wtedy nie było trudności z podaniem jedzenia .Oni się wzajemnie bali . Krótco przed Wielkanocą przyniosła nam śniadanie i podeszła do wachmana i dość długo z nim rozmawiała, widocznie narzekając, że mąż na służbie i nie narąbał jej drzewa , / niemcy bardzo cenili pracę kolejarzy /, po czym podeszła do mnie i powiedziała, że wachman pozwolił jej , żebym poszedł do niej i narąbał jej drzewa. Musiałem iść za siatkowe ogrodzenie. ^{Okazało się że} Wcale nie chodziło o rąbanie drzewa , tylko chciała mnie na Wielkanoc ugościć.Aby zmylić wachmana , dla pozorów trochę udawałem ,że rąbię drzewo a w rzeczywistości byłem świątecznie goszczony.Podziękowałem za gościnę i wróciłem na swoje miejsce pracy. Po powrocie z obozu po wojnie odszukałem ten dom ,lecz tej polki nie zastałem. Sąsiedzi powiedzieli mi, że cała rodzina wyjechała na Ziemię Odzyskane.

EGZECERKI

Kiedy jeszcze nie wypuszczano nas na roboty jako więźniów politycznych, to naszym zajęciem codziennym , była gimnastyka. Brzmi to niewiarygodnie , ale taka jest prawda .Jak tylko kolumny odeszły do pracy około godz. 7 ,to reszta pozostała w obozie wykonywała gimnastykę. Zaczynało się niewinnie od zwykłej gimnastyki lekkiej ,, po tym gliniastym gruncie, we własnych ubraniach.Trwało to godzinę , lub trochę dłużej , zależnie od humoru Bawarczyka w stopniu sierżanta, któremu podlegały nasze ćwiczenia. Jak mu się znudziło patrzeć jak się gimnastykujemy, to wychdził z biura i kazał nam maszerować ze śpiewem. Wiadomo było ,że to prowadzi do egzecerki.Nigdy nam się nie udawały takie marsze, bo składało się na to kilka przyczyn. Nikt nie zadbał o to aby ustawić nas w/g wzrostu a niemcom wcale na tym ,nie zależało, przecież jak nam się coś nie udawało , to oni mieli ubaw.Poza tym składaliśmy się z ludzi starych i mlodych, to samo za siebie mówi. A więc marsz ze śpiewem prowadził do egzecerki . Dodam tu , że obowiązywał śpiew po niemiecku, co dla wielu polaków było przeszkodą nie do pokonania Również podczas

kolejarz 1000z. 1000. O tej porze zwykle, kilku kolegów chodzący, to mowinaby go przewrócić szuflę, a tak pozostawiały tylko ręce. Jedyną dodatkia, stroną tej pracy, to były śniadania kolejarzy, którzy jedali je o wente.

zgotowano ^{wachmistrz} chęć pójścia do ubikacji. Wachmistrz prowadził ich do ubikacji a oni rozbiegali się wśród kolejarzy i zbiórli śniadania. Pierwszy raz, to kolejarze dali swoje śniadania, bo nie wiedzieli o nas więźniach obozu, że tu pracujemy, ale na następne dni, to już byli przygotowani i przynosili większe wafelki. Sprytniejsi więźniowie i odważniejsi, potrafili obłeciec więcej kolejarzy i w ich ręce trafił chleb z jajecznicą, z wędliną, i t.p.

Więźniowie w grupie ustalili, że aby sprawiedliwie obdzielić tymi śniadaniemi, każdy co zdobędzie, musi dostarczyć Komitetowi, składającemu się ze starszych osób w grupie, wśród których znalazł się ksiądz. Dla nas miało to gwarantować sprawiedliwy podział śniadań.

Niestety okazało się, że Komitet nie pracował sprawiedliwie i nasze nadzieje zostały zniweczone. Komitet rozleciał się i wszystko odbywało się po staremu, t.j. co kto zdobył, to jego a idea była piękna, szczególnie w warunkach obozowych.

Zładunek cylindrycznego zbiornika.



pierwszego apelu musieliśmy śpiewać niemieckie piosenki, nie znając ich słów i melodii. Niektórzy z nas zostali ostrzeżeni przez starszych więźniów, żeby na apelu ruszać ustami, bo wachmani chodzą z tyłu i jak ktoś nie śpiewa, to biją.

No więc zaczął się marsz ze śpiewem, albo ktoś nogę zmienił, albo śpiew się nie udał to był po prostu pretekst do wydania komendy: "egzezieren". To było najgorsze co nas mogło spotkać a spotykało nas codziennie, bo co dzień były egzecerki. W czasie egzecerki, wszystkie chwytły były dozwolone. A więc padnij, powstań i tak bez końca; później czołgać się we własnych ubraniach po tej glinie; dalej kaczy krok, polegający na tym, że wszyscy musieli w pół przysiadzie prędko iść, przy tym obiema rękami trzeba było trzymać się za uszy; inną odmianą udręczenia była skakanka w pół przysiadzie t.zw. "Żabka". Ludzie starsi nie mogli utrzymać równowagi i często byli bici. Tu litości nie było. Trwało to zwykle do obiadu. Ale nie zawsze obiad był gwarancją, że go się zje w spokoju. Bywało że po rozdaniu obiadu, ktoś z administracji wołał kogoś z więźniów i dyżurny więzień nie usłyszał, wtedy cała sztaba za karę, zostawiała obiad i w dalszym ciągu ćwiczyła egzecerkę. W tym przypadku obiad przepadał. Trzeba podkreślić, że obiady były mocno wodniste i ratował nas tylko chleb, którego dostawaliśmy pół bochenka na dzień jednorazowo. Tak było do wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej. Od tego momentu dostawaliśmy tylko 1/3 bochenka na osobę. Raz na miesiąc mogliśmy dostać paczkę, ale wachmani wybierali co lepsze rzeczy i z takiej paczki nie wiele zostawało dla więźnia. W związku z tym, nasze rodziny dowiedziały się o tym i zaczęły przysyłać nam bardzo tłuste zacierki takie jak na ciasto. To wachmanów nie interesowało a my mieliśmy pożywne jedzenie.

W zależności od humoru Bawarczyka egzecerka mogła być przed południem i po południu. Bywały takie dni, że mieliśmy egzecerkę przez cały dzień a kolumny przychodzące z pracy, meldowały, że uciekł więzień, lub dwóch. Wtedy po apelu odbywała się ciężka egzecerka, bo z udziałem wszystkich gestapowców, uzbrojonych w pejcze i kije, które wyrwali z grządek pomidorów, rosnących obok placu ćwiczeń. Odbywało się to w ten sposób, że gestapowcy ustawiali się w poprzek placu ćwiczeń a więźniowie musieli przelatywać przez ich łańcuch, oczywiście po to, aby gestapowcy bez wysiłku mogli bić więźniów, którzy sami do nich przybiegali. Po przebiegnięciu łańcucha gestapowców, padała komenda "zuriick" i musieliśmy wracać i tak bez końca, aż gestapowcy się zmęczeni t.j. gdzieś około godz. 10-11 wieczorem

Pamiętam , było to w połowie kwietnia 41 r.gestapowiec w stopniu kaprała , który miał ogródek koło domu, zorganizował grupę 15 więźniów do skopania ogródka. Ja w tej grupie nie byłem , ale miałem w tej grupie 2 braci , moich sąsiadów, którzy opowiedzieli mi wszystko od początku do końca. Otóż po wyprowadzeniu tej grupy z obozu gestapowiec wsiadł na rower i kazał im biec.Do jego ogródka było chyba ze 3 km., więc biegnąc zmęczeni się trochę i nie byli zadowoleni z takiego ich potraktowania . W ogródku wyznaczył każdemu miejsce do pracy i patrzył na nich z podwórza , przed domkiem. Widocznie ,aby zachęcić więźniów do pracy ,przewidział dla nich śniadanie. Nie było ono obfite , ale w obozie każda kruszyna liczyła się .Jak zaczęli rozdawać śniadanie , to okazało się ,że 2 porcje zostały i rzeczywiście 2 więźniów korzystając z okazji , chyłkiem za krzakami agrestu uciekło.W/g mnie nigdy ich Gestapo nie złapało , bo w obozie ich nie widzieliśmy .Reszta więźniów dokończyła robotę i około 3 p.p. wrócili do obozu.Zaraz gestapowiec zarządził dla tej grupy egzekucję. Z tych 13 więźniów , do godz. 5 p.p. został tylko jeden i to właśnie, jeden z tych moich sąsiadów - młodszy z braci. I temu ostatniemu gestapowiec darował reszta leżała osłabiona i zmarnowana na placu ćwiczeń .

Opiszę jeszcze jedno wydarzenie, dość ciekawe. Otóż w momencie ,kiedy nasza grupa przybyła do obozu ,to przed tym uciekł z obozu policjant niemiecki z Schutzpolizei. Jak przybyliśmy do obozu, to nam o tym opowiadano. Ten policjant , to był też volksdeutsch. Jakiś czas upłynął i wszyscy myśleli , że udało mu się uciec na dobre.Niestety na początku czerwca przywieziono go do obozu , gdyż złapano go jak przekraczał granicę do protektoratu, gdzieś koło Łodzi. Komendant obozu który wrócił już z urlopu zaprosił gestapwców z Dinststelle. Przyjechała sama szarża , z plecionkami na naramiennikach Załoga obozu wystawiła dla nich fotele i krzesła i rozpoczęło się widowisko . Wyprowadzono tego uciekiniera z aresztu. Był szczupły ,średniego wzrostu i budził naszą sympatię . Do jego obsługi wyznaczono 2 gestapowców z załogi obozowej, wyposażonych w pejcze. Szarża zajęła miejsca na fotelach i paląc papierosy oczekiwała na widowisko.Dwóch oprawców stanęło za uciekinierem i kazało mu robić bez przerwy , padnij i powstań, tak jak nam na egzekucjach.Muszę przyznać , że facet był bardzo wytrzymały.Wytrzymał 2 godz. takiego maltretowania. Po jakimś czasie , oprawcy się zmęczeni i wymieniono ich ,na dwóch innych. Trzeba podkreślić , że jedni i drudzy oprawcy bili starannie i szczerze, bo po tej zmianie ofiara upadła i nie mogła się podnieść. Myśmy jako więźniowie

chodzili wokół placu ćwiczeń, po ścieżce w okół placu ćwiczeń Jak ofiara przewróciła się , to wezwali 2 więźniów ,którzy przynieśli 4 kubeczki wody i poleli nią leżącego uciekiniera . Ponieważ nie spieszył się z powstaniem, bo był skatowany , oprawcy doskoczyli do niego i kopali go aż się podniósł ,ale już nie na długo . Po takim laniu był wykończony, uleciał jeszcze kawałek drogi i znowu upadł . I teraz nie pomogły mu ani kubeczki wody , ani kopniaki, już się nie podniósł .

. Gestapowcy , ponieważ nie dawał znaku życia , sami zanieśli go do aresztu i koło 10 godz. wieczorem wywieźli go samochodem w nieznane . Nigdy już w obozie nie ujrzeliśmy go.Po takim biciu chyba nikt by nie wytrzymał.

Przeżyłem jeszcze w obozie kilka ciężkich egzekucji, z których opiszę dwie :

gdzieś w czerwcu 41 r.przywieziono bydłym samochodem z przyczepą 100 aresztowanych polaków z okolic Gostynina i Kutna ,jako zakładników za zabicie niemieckiego policjanta .

Nas więźniów odprawiono do sztab ,na specjalnie wcześniej odprawionym apelu i zapowiedziano ,żeby nikt nie wyglądał przez okna . To nas sprowokowało tym bardziej , do podładowania , co się dzieje .

Na plac ćwiczeń wjechał samochód do przewożenia bydła ; jego ściany były wysokie na ponad 2 m. czyli , żeby opuścić samochód aresztowani musieli skakać z wys. powyżej 3 m.Samochód otoczyli gestapowcy uzbrojeni w kije lub pejcze . Któryś z gestapowców podał komendę " opuścić samochód " Ci z aresztowanych , którzy czuli się na siłach , posłusznie wdrapali się na ścianę samochodu i będąc już na zewnątrz skakali w tą glinę. Na to tylko czekali gestapowcy otaczający samochód; po prostu mieli kogo bić. Kiedy prawie połowa , była już na ziemi , padł rozkaz " z powrotem na samochód "To było piekło . Ci z ziemi , chcieli zgodnie z rozkazem wspiąć się na samochód , ale to nie było takie łatwe , bo z góry schodzili jeszcze ci co nie zdążyli tego zrobić na początku ,tego piekła . A gestapowcy bili wszystkich , kogo dopadli . to była prawdziwa masakra . To co ja podaję , nie jest w stanie odtworzyć sytuacji grozy i udręki . Ci ludzie , byli jak obłąkani , nie wiedzieli , którego rozkazu słuchać. Dopiero jak wszyscy byli już na ziemi / glinie/ ,to padł rozkaz " na sztabę", którą z tej okazji opróżniono, specjalnie dla nowych przybyszów.

Gestapowcy uformowali do tej sztuby szpaler, dzięki czemu każdy przybysz dostał swoją porcję razów. Nie koniec na tym, bo jak zappełniła się sztuba, to padł rozkaz " opuścić sztubę " I znowu powtórzyło się, to samo, co przy samochodzie, jedni pchali się do sztuby a inni chcieli się z niej wydostać a gestapowcy korzystali na tym, bo mieli kogo bić.

Przyjęcie tego transportu zakończyło się już po północy.

Cała ta setka została przyjęta na 1/2 racji dziennego wyżywienia, tak co do płynów, zupy i chleba.

Grupę tą w połowie sierpnia, zwolniono do domów.

Jedną z większych egzecerek, jaką przeżyłem w obozie, to była egzecerka, za ucieczkę 2 kolegów w czasie pracy, poza obozem. Po apelu z udziałem wszystkich gestapowców, rozpoczęła się jedna z cięższych egzecerek.

Po przeganiu nas, przez łańcuch gestapowców, stosowano znane " Żabki ", " Kacze kroki " i czołganie się, to jeszcze wymyślili " Taczki " Polegało to na tym, że ustawiono nas w dwuszeregu i pierwszy szereg oparł się na rękach a drugi szereg brał go za nogi i trzeba było jaknajszybciej uciekać, bo kto nie nadązał i i zostawał w tyle, to gestapowcy pilnowali takich i odpowiednio dopingowali pejciami.

Na nieszczęście wybrałem sobie złego partnera stając w dwuszeregu, ale tego nikt nie mógł przewidzieć.

Trafiłem na tragarza z Kutna, który ważył 100 kg., był średniego wzrostu i miał duży brzuch. On mnie trzymał jak piórko i dolecieliśmy do końca placu ćwiczeń, bez trudności. Gorzej było w drugą stronę. On miał ręce krótkie tak, że jego brzuch dotykał ziemi. Jego nogi były ciężkie i krótkie, więc najwpierw trochę przykucnąłem i na swoim udzie położyłem jedną jego nogę a potem drugą. Ale trwało to za długo i jeden z gestapowców zajął się nami i wtedy, po raz pierwszy dostałem porządne baty. Zwykle, ponieważ byłem zdrowy i wysportowany, to w czasie egzecerki udawło mi się tak ustawiać, żeby ominąć gestapowców. Niestety nie tym razem, dostałem za cały pobyt w obozie. Muszę jeszcze dodać, że po drugiej stronie ulicy znajdowały się koszary artylerii niemieckiej. Artylerzyści ci często przyglądali się różnym egzecerkom a ponieważ ta trwała dość długo, to coraz więcej artylerzystów gromadziło się na dachu stajni, w których stały konie. Nieprzewidzianie w pewnym momencie dach załamał się, no i artylerzyści spadli na te konie. W szasie trwania egzecerki ci artylerzyści krzyczeli coś, ale nie

28

rozumieliśmy czy te okrzyki były aplauzem dla egzecerki , czy też negacją jej . Mogło tak być ponieważ , wojsko nie lubiło Gestapo , choć tego nie ujawniało .

Jeszcze krótko wspomnę o spotkaniu z komendantem obozu , który przypomnę był na urlopie jak myśmy przybyli do obozu. Był to przystojny blondyn o zimnych , niebieskich oczach, średniej budowy ciała a nazywał się Kramer. ✓

On to sobie zażyczył poznać nas. Stanęliśmy luźno wokół niego a on poprzez tłumacza powiedział , żeby każdy z nas powiedział głośno swoje nazwisko. On nie mówił po polsku , albo to ukrywał. W czasie słuchania naszych nazwisk , kierował jednych więźniów na lewą stronę a drugich na prawą. Nie wiedzieliśmy ,co to miało znaczyć. Jak przepytał wszystkich , to zarządził ,żeby ci z prawej strony zostali puszczeni na sztuby a ci z lewej mieli ćwiczyć egzecerkę , za niezbyt głośne podanie nazwisk. Ja przypadkowo stanąłem na styku tych grup tak , że w końcu nie wiedziałem ,w której grupie powinienem znaleźć się. Zupełnie nieświadomie dołączyłem do grupy po prawej stronie i wygrałem , bo ominęła mnie egzecerka .

Te wyszczególnione tu wydarzenia , to tylko ważniejsze przypadki , z codziennie przeżywanym udręczeniem przez wszystkich więźniów . Tego głodu i brudu i traktowania nas jak ścierwo, nie sposób zapomnieć .Ile tragedii przeżywali pojedynczy więźniowie , którzy podpadli przez nieuwagę i skazani byli indywidualnie na karę np. krzyczenia głośno swojego nazwiska, aż do zdarcia głosu i t.p. Każdego dnia kilku nieuważnych więźniów odbywało indywidualne kary. W obozie nie wolno było chodzić , tylko trzeba było biegać, do kuchni z kotłami ,do ubikacji i t.p.

Doczekaliśmy w obozie 11.09. 41 r. Był to dzień pożegnania się z obozem . Każdy z nas musiał podpisać , że nie powtórzy nikomu , co tu widział i przeżył. Zaznaczono ,tym piśmie że jeśli kiedykolwiek ktoś trafi , z tego powodu do obozu , to już z niego nie wyjdzie. Nasza grupa "gazetkowców " liczyła ponad 150 osób . Ustawiono nas trójkami i zaprowadzono na dworzec kolejowy. Nie wiedzieliśmy gdzie jedziemy a gestapowcy cały czas nam mówili, że jedziemy do Niemiec na roboty , w ten sposób chcieli nas zniechęcić do ucieczek. Na dworcu podstawione były wagony osobowe z zdrutowanymi oknami. Podczas podróży naprzeciw każdego przedziału siedział gestapowiec z karabinem i

pilnował nas. Tym pociągiem pociągiem dojechaliśmy do Poznania , do więzienia na ul. Młyńskiej.



poprawione
25.07.96

6. Więzienia przejściowe

W więzieniu poznańskim byliśmy przez tydzień ,bo czekaliśmy na więźniarkę t. j. specjalny wagon do przewożenia tylko więźniów . W odróżnieniu od normalnego wagonu osobowego , posiada on po środku korytarz a z obu jego stron , poszczególne cele. W takiej celi są 2 ławki , na których może usiąść 4 więźniów .Nasza grupa liczyła z kobietami ponad 150 osób , więc wachmani w takim przedziale wcisnęli po 15 więźniów i wszyscy zmieścili się w jednym wagonie .

W takich warunkach zajechaliśmy do Wrocławia , gdzie byliśmy , też tydzień, bo okazuje się , że więźniarki kursowały raz w tygodniu .We Wrocławiu była istna wieża Babel, bo spotykało się wiele narodowości a szczególnie Jugosłowian .

Z Wrocławia , również więźniarką pojechaliśmy do Drezna ,gdzie zaprowadzono nas do Polizei Presidium. Po raz pierwszy spotkaliśmy się z przypadkiem, że kalifaktorami byli gestapowcy, uzbrojeni w pejcze , , którzy tu odsiadali karę za wykroczenia popełnione na froncie . Jak nas zobaczyli , to zaraz zainteresowali się nami i chcąc popisać się przed swoimi zwierzchnikami , pobili kilku naszych kolegów , bez przyczyny ot dla sportu . Zasadą było , że każdy transport przechodził przez łaźnię. I tu gestapowcy mieli ubaw , bo puszczali tak gorącą wodę ,że strach było podejść pod sitko . W czasie naszej kąpieli ,przejrzeli nasze ubrania i pozabierali niektórym kolegom różne drobiazgi , na tej zasadzie , że więźniowi nie wolno było nic mieć .

Martwiło nas ,że jechaliśmy stale na południe, gdyż przypuszczaliśmy , że jedziemy do Mauthausen . Były takie przypadki , że więźniowie bez sądu wywożeni byli do obozów koncentracyjnych a dotychczasowa trasa wskazywała ,że podążamy w tamtym kierunku .

Po tygodniu z ulgą opuściliśmy Drezno i ze stacji kolejowych wynikało , że w dalszym ciągu jedziemy na południe a więc Mauthausen . Obawy nasze okazały się płonne , gdyż wylądowaliśmy w Zwickau , w Saksonii w pobliżu granicy Czechosłowackiej .

55555555555555555555555555555555

Tym wagonem , z zadrutowanymi oknami ,dojechaliśmy do Więzienia ,na ul. Młyńskiej w Poznaniu .Tu przebywaliśmy 1 tydzień , w oczekiwaniu na więźniarkę, t.j.wagon specjalnie przystosowany do przewożenia więźniów. Zbudowany on jest w ten sposób, że odmiennie

- myłowy tekst

jak w normalnych wagonach , środkiem wagonu biegł korytarz a po jego bokach są celi. W takiej celi są 4 miejsca siedzące, ale ponieważ nas było dużo , więc upchnęli nas po 15 osób w celi. W tych warunkach , więźniowie wszyscy musieli stać i na ławkach i na podłodze .

W takich warunkach odbyliśmy podróż z Poznania do Wrocławia a następnie , podobnie , po tygodniu z Wrocławia do Drezna.

Ten tydzień pobytu w Poznaniu utrwalił mi się w pamięci tym , że na 15 osób w celi rozdano tylko 8 aluminiowych misek i do tego , bez łyżek. Zupa była bardzo gorąca , więc tej wody , bez łyżki nie można było szybko zjeść a kalifaktorzy /więźniowie funkcyjni / , nie chcieli czekać , aż pierwsza grupa zdąży zjeść. Chodziło kalifaktorom o to , aby rozdać jaknajmniej zupy , to wtedy dla nich więcej zostanie. Wachman uwzględnił nasze reklamacje i mimo , że to trwało dość długo , wszyscy zupę dostali . Tak było przez cały tydzień.

We Wrocławiu na Polizei Presidium , była istna wieża Babel. To był duży gmach i spotkaliśmy tam wiele narodowości a szczególnie Jugosławian. We Wrocławiu wyżywienie było rozdawane też do misek aluminiowych , ale z łyżkami.

Podróż z Wrocławia do Drezna odbyliśmy również w więźniarce, również po 15 osób w celi. W Dreźnie przybyliśmy także do Polizei Presidium. Spotkaliśmy się po raz pierwszy z tym , że kalifaktorami byli gestapowcy, którzy coś przeszkrobali na froncie i odsiadywali tu karę. Od razu jak nas zobaczyli , to poświęcili naszej grupie trochę czasu ,no i nie obyło się bez bicia , bo byli oni wyposażeni w pejcze. Prawdopodobnie za wykazaną gorliwość w biciu Polaków , korzystali ze skrócenia kary, bo z wielkim zapamiętaniem nas obsługiwali .

Zwykle każdy transport przechodził przez łaźnię ,gdyż Niemcy panicznie bali się epidemii i dlatego przestrzegali higieny , oczywiście w więzieniach. Obozy działały na innych zasadach

Zaprowadzono nas do łaźni, gdzie dla urozmaicenia kalifaktorzy puszczali zimną i gorącą wodę, ale tak gorącą , że był to ukrop. Jednocześnie przejrzyli nasze rzeczy i niektóre drobiazgi pozabierali , na tej podstawie ,, że więźniowi nie wolno było nic posiadać.

7. Więzienie w Zwickau

Jadąc z Drezna obserwowaliśmy mijane stacje kolejowe. Południowy kierunek jazdy pociągu napawał nas obawą ,że jedziemy do Mauthausen .Po tygodniu, również więźniarką jechaliśmy ,dokładnie na południe ,więc upewniliśmy się , że jednak do Mauthausen . Okazało się ,że nasze obawy są płonne, bo wylądowaliśmy w więzieniu w Zwickau , w Saksonii w , pobliżu granicy z Czechosłowacją.

Zwickau położone jest 1150 m. nad poziomem morza i ma ciężki klimat. W ciągu dnia , można spotkać 4 pory roku: słońce, śnieg , deszcz i porywisty wiatr.

Do więzienia prowadził naszą grupę konwój wachmanów z psami i z karabinami. Na ulicach nie było widać żadnego przechodnia , tylko niekiedy zauważaliśmy ruch firanek w mieszkaniach. Okazuje się ,że w przeddzień naszego przyjazdu, prasa podała , że przyjadą mordercy z Bydgoszczy, którzy mordowali Niemców. Nie wiem do dzisiaj , czy to propaganda niemiecka wykorzystała nasz przyjazd , czy też jakiegoś gorliwego dziennikarza poniosła fantazja , gdyż z mordowaniem nie mieliśmy nic wspólnego .

Bez niespodzianek i zakłóceń wachmani doprowadzili nas do więzienia. Brama otworzyła się i weszliśmy na dziedziniec więzienny.

Więzienie w Zwickau mieści się w XVI w. zamku posiada 4 piętra.

To było jedyne więzienie, z pośród tych , które w czasie mego uwięzienia poznałem, gdzie wszyscy więźniowie przebywali razem; wspólna sypialnia i wspólna jadalnia Miało to dla nas duże znaczenie bo. mogliśmy utrzymywać między sobą kontakty i przekazywać sobie zdobyte wiadomości Kobiety zaraz na stacji kolejowej skierowano do odrębnego więzienia dla kobiet .

Przyjęcie naszej grupy w więzieniu odbywało się spokojnie a rozpoczęło się od strzyżenia włosów , potem łaźnia i pobranie ubrań więziennych a na końcu obiad , gdzieś koło godz. 3 p.p. Działo się to sprawnie, bo przybyliśmy do więzienia koło 11 rano a o 3 p.p. był obiad. W ciągu tych 4 godz. zdaliśmy nasze rzeczy do depozytu , co wymagało szczegółowego zapisania wszystkich drobiazgów , pobrania ubrań więziennych przez każdego z nas a było nas ponad 120 osób , licząc bez kobiet.

Sala jadalna była wyposażona w drewniane stoły i taborety. Przy każdym stole było miejsce dla 6 więźniów. Z przodu stołów na sznurku wisały ściereczki, dla każdego więźnia.

Wydawanie obiadu odbywało się w ten sposób, że pierwszy z brzegu stołu więzień, jak kocioł z jedzeniem zbliżał się do stołu, pierwszy z brzegu więzień wstawał ze stołka i podstawiał pod kocioł. I ten pierwszy więzień, podawał kolejne miski do napełnienia i dalej rozprawdzał po stole; najpierw otrzymywał ostatni przy stole, potem przed ostatni i t.d.

Obowiązywała zasada, że jeść można było dopiero, gdy Eichler podał komendę "Anfang" t. zn. zaczynać. Nie wszyscy więźniowie umieli powstrzymać się i poczekać na tę komendę, a było to wyraźnie zapowiedziane, że kto spróbuje jedzenie, przed podaniem komendy, jedzenie zostanie mu odbrane, albo zostanie inaczej ukarany. Ileż to ludzi straciło posiłek przez nie przestrzeganie tej zasady. Ta zasada była przestrzegana codziennie, jak długo byliśmy w Zwickau.

Muszę wyjaśnić, że w odróżnieniu od zup obozowych, tu zupy były smaczne i czyste i miały przyjemny zapach. Nie wiem czy to zależało od kucharza, czy też że więzienie to było przeznaczone dla Niemców i Czechów z długimi wyrokami, ale jedzenie było smaczne. Nic dziwnego, że wielu więźniów skuszonych zapachem, zaczynali bez komendy jeść i za to ponosili karę.

Pierwszego dnia jak przyjechaliśmy, to Eichler powiedział nam, że należy nam się 3/4 l. zupy. Wszyscy otrzymali 3/4 l. marchewki i jak zjedli, to powiedział, że ponieważ wszyscy odczekali na komendę, to on postarał się o dokładkę 1/4 l., dla każdego.

Okazało się, że on się z nami bawił, bo norma zupy wynosiła 1 l. na osobę. Oprócz tego, że to jedzenie było apetyczne, to jeszcze podawano je w białych fajansowych miskach. Po obozowych blaszankach i puszkach po konserwach, był to luksus, który robił na nas przyjemne wrażenie.

Niestety więzienie jest zawsze więzieniem i gdyby warunki pobytu były takie jak w domu, to i tak pozostanie więzieniem.

Wszyscy więźniowie zostali zbadani przez lekarza i uznani za zdolnych do robót błotnych.

Pod koniec października 41 r. utworzono z nas kolumnę roboczą t. zw. Baukolonne, w której zebrano 80 więźniów, tylko z naszej grupy. Naszym zadaniem było ukończenie budowy stadionu sportowego, który

dotychczas budowali niemieccy komuniści. Był to stadion na 100.000 osób i do jego ukończenia pozostało wiele do zrobienia

Naszym szefem został niesympatyczny wachman , , którego przezwaliliśmy " Buła ", bo nie znaleźliśmy jego nazwiska. Ten stadion leżał na skraju miasta i z więzienia do stadionu było 6 ~8 km. ,zależnie w którym miejscu wykonywało się pracę.

Kolumna wychodziła do pracy o 7 rano, z tym że na stadionie byliśmy o 8 i pracowaliśmy do 16 p.p. W południe przywożono nam z więzienia obiad w wojskowych termosach ,które po pracy odwoziliśmy na wózku do więzienia .

Na stadionie najpilniejszą pracą , było zniwelowanie nasypu złożonego z żużla , odpadków cegieł i ziemi , ponieważ stadion budowany był na dawnym wysypisku po starej hucie Prace rozpoczęliśmy od ułożenia wąskotorowych szyn dla wagoników . Tory bieły po terenie z małym spadkiem, w kierunku wywożenia urobku a miejsce wyładunku znajdowało się w odległości ~300 m.

Do każdego wagonika przydzielono 3 więźniów wyposażonych w kilofy i szpadle .Pierwszego dnia wywieźliśmy 13 wózków . Buła powiedział ,że dużo czasu zajęło nam układanie szyn , ale on uważa , że od jutra będziemy wywozić po 30 wózków dziennie . Między nami byli fachowcy z tej branży , którzy twiedzili że pracując przy wywożeniu żwiru , w ciągu dnia nie robili więcej , jak 18 wózków. No a przecież żwir to nie żużel i gruz, oraz ziemia . Postanowiliśmy ,że więcej jak 20 wózków dziennie ,nie będziemy wywozić . Na drugi dzień , wywieźliśmy 18 wózków .

Żeby nas zachęcić do wydajniejszej pracy , Buła poczęstował załogę pierwszego wózka śliwkami. Nasi koledzy dali się nabrać i zaczęli przyspieszać tempo pracy . Jak wróciliśmy do więzienia ,odbyliśmy w sypialni naradę i zwróciliśmy uwagę załodze pierwszego wózka że pozwalają się za głupią śliwkę wykorzystywać i zmuszają wszystkich do zwiększenia wydajności . Załoga wyjaśniła , że zrobiła to podświadomie i na przyszłość już nie da się nabrać.

Rzeczywiście od tej pory nie wystąpiły już żadne nieporozumienia w sprawie wydajności pracy .

Buła w dalszym ciągu przypominał nam ,że robimy za mało,ale my się tym nie przejmowaliśmy a jak zagroził nam ,że jeśli nie wykonamy normy , to ukarze nas obiadem. W więziennej sypialni umówiliśmy się , że w

czasie powrotu z pracy do więzienia, jeden z nas zemdleje na ulicy w mieście, żeby zawstydzić Bułę. I rzeczywiście wyznaczony przez nas kolega udał omdlenie. Zrobiło się trochę zamieszania, przechodnie a szczególnie Niemki zainteresowały się co się stało a my porosiliśmy o wodę, którą nam dostarczono. Popryskaliśmy tego omdlałego wodą i wrócił do siebie. Buła nie poznał się na naszym podstępie i kazał położyć go na wózku, który ciągnęliśmy ze sobą ze stadionu każdego dnia z termosami po obiedzie. Od tego wydarzenia Buła nie przypominał nam, że nie wyrabiamy normy i do końca mego pobytu w tym komandzie nie przekroczyliśmy założonej przez nas normy t.j. 20 wózków. Trzeba tutaj wyjaśnić, że był to już listopad i w ciągu dnia występowały tu 4 pory roku a my pracowaliśmy w zwykłych ubraniach więziennych. Nasi koledzy nie zatrudnieni w tej kolumnie kleili torby do cukru. Ponieważ na stadionie wiały wiatry, kilku kolegów chciało zabezpieczyć się przed wiatrem za pomocą tych toreb. Jak wachmani to zobaczyli, to mocno ich zbili i powiedzieli, że to sabotaż, bo te torby są dla wojska. Dużo jeszcze przeżyć mógłbym opisać w tym komandzie, ale nie wypada pisać tylko o sobie a ogólne warunki pracy przedstawiłem w miarę szczegółowo.

Z tym komandem rozstałem się przez chorobę. Było to 25 listopada 41 r. Zgłosiłem się do lekarza, bo spuchły mi nogi. Zgłoszenie się do lekarza, to nie była taka prosta sprawa, bo obowiązywało prawo, że jeśli lekarz nie uzna choroby chorego, to ten traci obiad. Ponieważ nogi miałem naprawdę spuchnięte, więc odważyłem się

zgłosić do lekarza. Byłem z kolei 3, czy 4. Jak wszedłem do gabinetu to mnie spytał co mi jest? Odpowiedziałem, że mam spuchnięte nogi. Obejrzał i dał mi 3 dni zwolnienia. Byłem u lekarza w środę a więc do poniedziałku miałem wolne dni. Zyskałem na tym zwolnieniu wiele, bo dostawałem to samo jedzenie i nie musiałem marznąć na wietrze.

Nie mogłem przewidzieć, że ta przerwa chorobowa, pozwoli mi rozstać się z tą Baukollone na stałe. W ostatni dzień chorobowy a była to niedziela, przed wieczorem przyszedł do naszej jadalni obcy wachman do naszego pilnującego nas wachmana i wymienił moje nazwisko i Albina Boreckiego. Przy naszym stole siedzieliśmy razem i dokładnie słyszeliśmy swoje nazwiska. Pomyśleliśmy jednocześnie, czy to nie chodzi o Gestapo. Okazało się, że nie chodziło o Gestapo, ale do więziennych stolarni byli potrzebni kreślarze. Ten obcy wachman wziął nas ze sobą, sprowadził na I piętro i wprowadził nas do stolarni. Kierownik stolarni przyjął nas w swoim kantorze. Pytał nas jakie szkoły ukończyliśmy

i gdzie pracowaliśmy .Korzystniejszą sytuację miałem ja , ponieważ mówiłem dość dobrze po niemiecku i to chyba zdecydowało ,że zostałem przyjęty jako kreślarz .Jeszcze wspomnę o wachmanie , który z zawodu był fryzjerem a z braku ludzi w Niemczech ,został powołany do służby więziennej . Otóż ten Niemiec , okazał się dobrym człowiekiem , gdyż to on opowiedział nam jak lokalna prasa napisała o tych mordercach z Bydgoszczy. Będąc pod wrażeniem tych informacji , on też jak ktoś z nas zbliżał się do niego na stadionie , to on wystawiał karabin i trzeba było zatrzymać się przed nim 3 m. Jak nas poznał i dowiedział się , że siedzimy za gazetki,to zmienił się i już nie wystawiał karabinu . To on nam powiedział ,że ten stadion przed nami budowali niemieccy komuniści . On też zatroszczył się o nasze żołądki ,gdyż ponieważ stołował się w stołówce , to przed wyjściem z niej obchodził wszystkie stoły i zbierał dla nas pozostawiony chleb. Żeby nie podpaść Niemcom , to on ten chleb wkładał do chlebaka ,odwracał się do nas tyłem i wołał nas pokazując na chlebak ,jednocześnie obserwował , czy nie nadchodzi jakiś Niemiec Nie było tego chleba dużo , ale liczyła się , jego chęć ulżenia nam i okazanego zrozumienia. Domyślaliśmy się ,że on też był komunistą.

W kreślarni tej zatrudnionych było 2 inżynierów ,oraz pisarz ,który obsługiwał maszynę do pisania i ja jako najświeższy nabytek . Jeden z tych inżynierów miał być zwolniony i ja przyszedłem na jego miejsce. Wszyscy zatrudnieni w kantorze byli rodowitymi Niemcami a ja jako jedyny Polak. Muszę przyznać ,że ci Niemcy , nie okazywali mi wrogości i niekiedy ze zgrozą mówili o Gestapo , które także Niemcom potrafiło dobrać się do skóry .

Kierownik stolarni , był inteligentnym człowiekiem i dobrze traktował więźniów , przy czym był dobrym fachowcem Z pośród pracujących w kantorze byłem najmłodszy i dlatego kierownik polecił mi , że będę wyświetlał rysunki . Przy tym zajęciu miałem okazję wyjść na świeże powietrze , bo wyświetlanie rysunków wykonywaliśmy na słońcu. Wykonywaliśmy szereg projektów mebli np. meble w stylu gotyckim dla Gauleitera drezdeńskiego, do jego gabinetu , oraz różne projekty szaf na sprzedaż . Te meble były rozchwytywane, bo nie było innych rzemieślników , bo wszyscy byli na froncie . Kierownik stolarni , nasz szef miał każdego dnia do dyspozycji t.zw." Zulage " t.j. dodatek za dobrą pracę . Trzeba mu przyznać , że sprawiedliwie rozdzielał te dodatki na t. zw . drugie śniadanie, w postaci 1/2 porcji chleba , albo porcję " Blutwurstu" to przed wojną u nas nazywali to fiutem. Najcenniejszym dodatkiem , było 1/2 porcji chleba , którego normalna porcja , ważyła 200

G. na cały dzień. Niekiedy miałem szczęście otrzymać taki dodatek, ale to zdarzało się raz w tygodniu. Nie chcę przez to powiedzieć, że szef o mnie nie pamiętał, poprostu dzielił sprawiedliwie i traktował jednakowo wszystkich. Byłem zadowolony z mojej pracy, nie dość, że od czasu do czasu dostawałem dodatek śniadaniowy, to nie musiałem marznąć na stadionie i słuchać Buły.

W tej stolarni przepracowałem 11 miesięcy, aż do wyjazdu na sprawę sądową.

Mój szef na pożegnanie postarał się z kuchni o 1 kg. chleba i wręczył mi go na drogę. Czułem się tym bardzo wzruszony, a on życzył mi, żebym otrzymał mały wyrok. Dla mnie jego sposób bycia, jakby mnie rehabilitował, bo on przedstawiciel służby więziennej, okazał zrozumienie mojej sytuacji.

Cała nasza grupa, ze względów propagandowych została podzielona na 5 grup, które zostały rozesłane do 5 różnych miast niemieckich



8. Więzienie w Zgorzelcu

Grupa , w której się znalazłem , skierowana została do Zgorzelca - Görlitz . Rozprawa sądowa dla naszej grupy odbyła się dn.28 i 29 października 42 r. Przed sprawą , każdy z nas siedział w osobnej celi i wszyscy pracowali dla wojska , przy wyrobie guzików do wojskowej bielizny . Robota była rozliczana w/g normy , dla mnie oznaczało to wykonanie 2000 guzików dziennie . Moim zadaniem był montaż tych guzików na prasie ręcznej. Moi koledzy, wykrawali na prasach , elementy składowe tych guzików i też mieli ustaloną normę Rano przychodził do celi pracownik przedsiębiorstwa i przynosił potrzebne do produkcji półfabrykaty . W przypadku , gdy ktoś nie wykonał normy , nie dostawał obiadu . Dobrze ,że mieliśmy tą robotę , bo przynajmniej nie mieliśmy czasu myśleć o czekającej nas sprawie .

Przyszła dzień rozprawy . Więzienie mieściło się w tym samym budynku co sąd . Wprowadzono nas na salę sądową i czekaliśmy na sąd .

Kazano nam wstać jak sąd wchodził a potem sąd przepytawał poszczególnych więźniów jak wstąpili do organizacji ,bo w/g Gestapo utworzyliśmy podziemną organizację . Do porozumiewania się z sądem był tłumacz a prokuratorem był jeden z gestapowców z Włocławka . Podobno była utworzona organizacja pod nazwą KUJAWSKI ZWIĄZEK LITERACKI , ale wielu z nas nie słyszało wogóle o czymś takim , no bo to była organizacja tajna . Dla Gestapo wszyscy , którzy czytali gazetki , czy ulotki , to należeli do organizacji . W ten sposób Gestapo chciało pokazać jak czuwa nad bezpieczeństwem państwa . Byli między nami ludzie , którzy nie umieli czytać i też siedzieli z nami za czytanie gazetki , bo ktoś np. poszedł do szewca u którego w warsztacie czytano właśnie gazetkę, to też należał do organizacji .

Opowiem jak kol. obozowy wyjaśnił sądowi , że on nie należał do organizacji Był to Józef Tomaszewski o którym już wspominałem , jak rozmawiał z nim w samochodzie gestapowiec "Kwiat Lotosu " , w drodze do obozu. Ten kol. nie umiał po niemiecku i korzystał z tłumacza .Sędzia zapytał go jak on wstąpił do organizacji ? On odpowiedział , że do żadnej organizacji nie należał . Sędzia zajrzał do protokołów Gestapo i stwierdził ,że w protokole jest napisane , że należał , więc mówi mu , że on się przyznał ,bo był bity w Gestapo .

Sędzia zwrócił się do gestapowca, z zapytaniem, czy w czasie zeznań aresztowani byli bici. Zapytany prokurator, wstał, założył czapkę na głowę, zrobił Heil Hitler i stwierdził urzędowo, że żadnego bicia nie stosowano i usiadł.

Sędzia podziękował więźniowi, „jeszcze 2 więźniów zeznawało i sąd udał się na radę. Wyroki to oni musieli mieć już gotowe, bo nie było ich z 15 minut a zdążyli wydać wyroki na 27 osób.

Odczytanie wyroków było formalnością z tym, że wszyscy dostali wyroki bez zaliczenia 19 miesięcy śledztwa. Ja dostałem wyrok 3 lata a kol. Tomaszewskiego przeniesiono na koniec listy i sędzia zaznaczył, że za chęć wprowadzenia władzy w błąd, podwyższa mu się wyrok z 3 lat, do lat 5.

Obowiązywało prawo, że wyroki do trzech lat, odbywało się w t.zw. obozach karnych. Natomiast wyroki 5 lat i wyżej traktowano jako duże i kierowano je do obozów koncentracyjnych.

Jako miejsce odbycia kary, przewidziano dla wyroków 3 letnich Rawicz / ciężkie więzienie /. Jednak ze względu na to, że w tym czasie wybuchła epidemia czerwonki, to decyzją Ministerstwa Sprawiedliwości, więzienie to zostało zamknięte do czasu trwania epidemii i zastępczo skierowano nas do Ostrowia Wielkopolskiego.

Więzienie to nie było wielkie, chyba mogło pomieścić 400 do 500 więźniów. Cele były dość duże, bo siedzieliśmy w celi 5 ciu. Przebywaliśmy tu około 6 tygodni; w celach nic się nie robiło, więc czas dłużył się niepomiaralnie.

Byłem świadkiem następującego zdarzenia. Otóż w naszej celi był więzień, który znał wachmana, któremu podlegała cela. Ten wachman, to był Leistungspole, t. zn. zgodził się na współpracę z Niemcami. Ten więzień nie był z naszej grupy, ale przy każdej okazji, przypominał się temu wachmanowi, że jakby zostało mu w kotle jedzenia, to żeby pamiętać o naszej celi. Wachmani mieli dość często taką okazję, ponieważ odjeżdżały transporty i nie zawsze to było zgłaszane do kuchni, odpowiednio wcześniej. Pewnego dnia wachmanowi zostało jedzenie i przyniósł je do naszej celi. Tego dnia były ziemniaki w mundurkach i do tego mała łyżka gulaszu z koniny.

Ten facet rozłożył te wszystkie ziemniaki, na stoliku, było tego 73 szt. Oprócz tego w drugim kotle miał gulasz. Ponieważ to jedzenie już trochę ostygło, to on, żeby nic się nie zmarnowało palcem zbierał ten

40

tłuszcz ze ścianki kotła , aż na ścianie kotła nie było śladu tłuszczu .Myśleliśmy , że on chce uporządkować jedzenie i potem jakoś podzielić,między wszystkich w celi .Na naszą porcję ziemniaków przypadało 3 do 4 ziemniaków , zależnie od wielkości . Proszę sobie wyobrazić , że on te ziemniaki zjadł sam , wraz z tym gulaszem . Nikomu nic nie dał a przecież wachman dał to dla całej celi . Ten fascet był szczupły i średniego wzrostu . Gdybym tego nie widział , to bym nie uwierzył . Przyszła pora , żeby jechać do Rawicza .

10. RAWICZ

Do Rawicza przyjechaliśmy dn. 4.12. 42 r. przed wieczorem.Załoga więzienia wtoczyła nas do celi w piwnicy i tak przespaliśmy noc na betonie. Rano wyprowadzono nas na podwórze,ustawiono w bloki po sto osób i dokonano podziału na komanda pracy.

Muszę wyjaśnić,że zgodnie z wyrokiem , skierowani byliśmy do obozu karnego pracy,bo wszystkie więzienia ciężkie ,były zamienione na obozy karne pracy.

Z tego podziału znalazłem się w komandzie krawców, było jeszcze komando szewców i koszykarskie,oraz ogrodników. Nie zważano , czy do komanda krawieckiego trafił szewc , czy też inny fachowiec, ważne było , żeby komando miało 100 osób . Oczywiście jak trafił się wybitny fachowiec z danej branży ,to go po jakimś czasie przenieśli, do właściwego komanda.

Krawcownia. Do krawcowni trafiliśmy razem z Albinem. Początkowo pruliśmy żołnierskie mundury prosto z frontu z winogronami wszy za guzikami.

Przypominam sobie moje spotkanie ze starszym krawcowni, więźniem odsiadującym polski wyrok a nazywał się on Alfons Bogdajewicz. Otóż do prucia tych mundurów mieliśmy ułamane noże o długości ostrzy około 3 - 4 cm. , żeby kogoś nie skaleczyć. Do ostrzenia tych noży mieliśmy kawałek zwykłej cegły, którą podawaliśmy sobie w zależności od potrzeby. Potrzebowałem akurat tę cegłę i krzyknąłem do kolegi , żeby mi prędzej podał a za mną przechodził Alfons i zdjął z nogi laczek i lekko nim uderzył mnie w głowę .Oburzony zwróciłem mu uwagę a on na mnie spojrzał i nie wdając się w rozmowę , poszedł sobie . Dopiero po tym incydencie , starsi więźniowie ostrzegli mnie ,żebym z nim nie zaczynał , bo on potrafi być groźny.

Po 4 dniach pracy przy pruciu , niemcy zaproponowali nam pracę na maszynach do szycia , na następujących warunkach:

1. Przez 3 dni twać będzie okres próbny i jeśli ktoś nie zrobi normy , to nie będzie karany obiadem.

2. Dla zachęty , przez te 3 dni , każdy kto przejdzie na maszynę , doctanie 1/2 porcji chleba.

Wszystkie prace wykonywane przez nas , były znormalizowane, t.zn. na końcu dnia ,t.j. gdzieś ~ godz. 4 p.p. każdy musiał rozliczyć się ze swego urobku, który był szczegółowo ważony . W zależności od wyników , na drugi dzień mógł dostać obiad , albo nie.

Na tym polegał obóz karny pracy , praca trwała 10 godz. dziennie i każdy musiał zrobić swoją normę.Pod tym względem żadnych ulg nie było.



1/2. Dokumenty dotyczące melatora: Nagórski
Zygmunt A.

1. Wyciąg z aktu urodzenia Juliana
Maksymiliana Nagórskiego (ojciec)
z 22.11.1965r., kserokop. oryg. k. 1 s. 1
(2 egz.)
2. Odpis skrócony aktu urodzenia
Zygmunta Aleksandra Nagórskiego
z 15.12.1950. wydane we Wrocławiu
- nr 193/1922, kserokop. oryg. k. 1 s. 2
(2 egz.)
3. Świadcstwo o zawarciu małżeństwa
z aktu nr 246/1946 z Heleną, Leonia,
Maroszek, kserokop. oryg. k. 1 s. 3
4. Zastępczy dowód tożsamości Zygmunta
Nagórskiego ser. 8 nr 2694 z 18.08.1945,
kserokop. oryg. k. 1 s. 4
5. Poziądzenie obywatelstwa (Państwa
Polskiego) Zygmunta Aleksandra Nagór-
skiego wydane 7.11.1949 przez Zarząd
Miejski we Wrocławiu, kserokop. oryg. k. 1 s. 5
(2 egz.)
6. Odpis skróconego aktu urodzenia
Leona Juliana Nagórskiego - Urząd
Stam Cysliup we Wrocławiu nr 261/1949,
kserokop. oryg. k. 1 s. 6
7. Skrócone akty zgonu - Nagórskiego Juliana
Maksymiliana i jego ojca - Franciszka
Nagórskiego, kserokop. oryg. k. 1 s. 7
8. Skrócony akt zgonu Nagórskiej Heleny
Leoni + d. Maroszek - żony Zygmunta -
- kserokop. oryg. k. 1 s. 8

1

Wniosek o wypis 22/10/60

Wypis wydano dla celów szkolnych
Wrocław data 22 Listopada 1960



POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
Województwo śląskie
Powiat Wrocławski - miasto
URZĄD STANU CYWILNEGO
w Wrocławu - miasto
Nr 792/1896 J.

Wyciąg z aktu urodzenia

Zaświadczam, że Julian Maksymilian Nagórski
(nazwisko i imię)
syn-córka Franciszka i Pelagii
(imiona) (imiona)
zrodził się dnia 21 października
tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty szósty
1896 roku w Włodkawku



Wrocław dnia 22.11. 1965 r.
Kierownik
Urzędu Stanu Cywilnego

[Signature]
J. Błotnicki

MSW - M-7 - zam. 1190/PWH/Lz/CWD - 1106-LDA-2.4.62-1500.000-Pap. piśm. kl. III A1/80 g

ujscie

ELŻBIETY ZAM...

/Godło Państwa/
RZECZPOSPOLITA POLSKA
Województwo bydgoskie
URZĄD STANU CYWILNEGO
Włocławek-miasto
Nr. 193/1922
Par.Św.Stanisława

ODPIS SKRÓCONY AKTU URODZENIA

Zaświadczam, że Zygmunt Aleksander Nagórski
urodził się dnia 20 marca tysiąc dziewięćset
dwudziestego pierwszego 1921 roku w Włocławku
z ojca Juliana Maksymiliana Nagórskiego, handlowca,
zamieszkałego w Włocławku, -----
i matki Cecylii Nagórskiej z Kozaneckich -----

Włocławek, dnia 15.12.1950r.

/Pieczęć okrągła
z godłem Państwa/
Urząd Stanu Cywilnego
Włocławek-Miasto

Urzędnik Stanu Cywilnego
/-/ M.Kuleczyński



Za zgodność:

3

Świadcstwo o zawartym małżeństwie z aktu Nr. 246 /1946 roku

Eugeniusz Aleksander Nagórski kawaler-wdowiec, zawód *technik-mechanik*
urodzony dnia *20 marca* 19*21* roku w *Włodawie*

syn *Juliana* i *Rozalii*
z domu *Kozarackiej* zamieszkały w *Włodawie*
dnia *15 sierpnia* tysiąc dziewięćset
czterdziestego *piątego* (19*45*) roku zawarł religijny związek małżeński

z *Helena Leonia Maroch*
panną-wdową, urodzoną dnia *28 lutego* 19*42* roku w *Włodawie*
córka *Władysława* i *Janiny*
z domu *Prokopiak* zamieszkała w *Włodawie*

Włodawie dnia *19 sierpnia* 1946 roku

za PROBOSZCZĄ

M. Wieronek
vic. coop.

Dzi. paraf. Włodawek





WOJEWÓDZKA KOMENDA
MILICJI OBYWATELSKIEJ
W BYDGOSZCZY

ZASTĘPCZY DOWÓD TOŻSAMOŚCI Nr 2694
(NIE SŁUŻY JAKO DOWÓD OSOBISTY)

WYDANY NA PODSTAWIE ART. 23 DEKR. Z DNIA 28. 2. 1945 R. (DZ. U. R. P. NR. 7
POZ. 30) O WYŁĄCZENIU ZE SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO WROGICH ELEMENTÓW.

ZASWIADCZA SIĘ, ŻE:

1. Nagorski Zygmunt
NAZWISKO I IMIĘ

4. _____
NAZWISKO PANIENSKIE MEŻATEK

2. SYN/ ~~WIDMA~~ Juljana i Cecylji
IMIĘNA RODZICÓW

5. 26.2.1921r. w Włocławku
DATA I MIEJSCE URODZENIA

bez zawodu
ZAWÓD

6. Włocławek, Lamera 6
MIEJSCE ZAMIESZKANIA



~~BYŁ WPISANY NA NIEMIECKĄ LISTĘ NARODOWĄ~~ ~~NIEMIECKĄ LISTĘ NARODOWĄ~~
NIE JEST WPISANY NA ŻADNĄ NIEMIECKĄ LISTĘ NARODOWĄ (NIEPOTRZEBNE SKREŚLIĆ)

WYDANY DO DNIA 31 sierpnia 1945 R.

WYSTAWIENIA 10.8.1945r.

WAKSOWY BYC WŁOŻONY PRZY SKŁADANIU WNIOSKU O REHABILITACJĘ, DE-
KLARACJĘ WINNOŚCI, WZGL. PODANIA O WYDANIE DOWODU OSOBISTEGO.

WŁASNOBĘCZNY PODPIS



Drukarnia Min. Bezp. Publ. w Łodzi.



Zarząd Miejski we Włocławku

Wydział Administracyjny

L. Adm. 2-5/731/49

5

POŚWIADCZENIE OBYWATELSTWA

Obywatel (ka) NAGÓRSKI Zuzanna - Aleksandra
zawód technik - mechanik zam. w Włocławku
przy ul. Zamcza 6/8 urodz. dn. 20 marca 1921 r.
we Włocławku powiatu Włocławek
syn (córka) Juliana-Maksymiliana i Cecylii oraz żona jego Helena-Leonia
z domu Kazaneckich
urodzona dn. 20.II.1922 r. we Włocławku
powiatu Włocławek tudzież jego (jej, ich) dzieci:
1. imię Zdzisław-Franciszek urodz. dnia 17.9.1947 r. w Włocławku
2. imię Leszek Julian urodz. dnia 14.2.1949 r. w Włocławku
3. imię _____ urodz. dnia _____ w _____
4. imię _____ urodz. dnia _____ w _____
posiada (ją) obywatelstwo Państwa Polskiego.

Poświadczenie to, zapisane jest we właściwym rejestrze pod L. b. 2-5/731/49

Włocławek, dnia 7 listopada



Za **PREZYDENT MIASTA**
Starostę Grodzkiego
Kierow. Oddz. Adm.

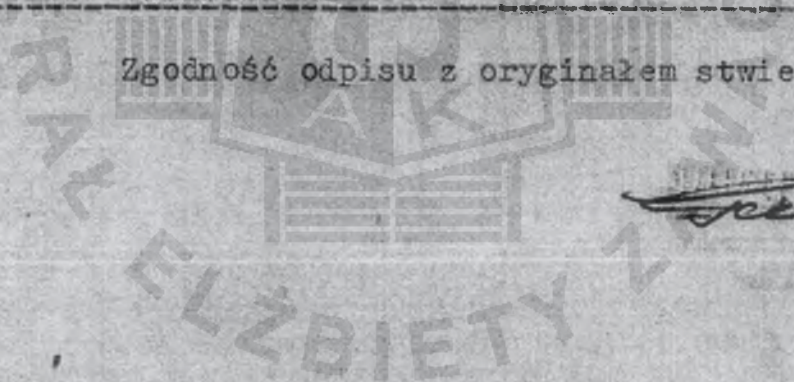
(J. Krosiński

O d p i s

/Godło/ RZECZPOSPOLITA POLSKA województwo Pomorskie Powiat Włocławski ---
 Urząd Stanu Cywilnego na obwód miejski we Włocławku Nr 261/1949 Odpis ---
 skrócony aktu urodzenia Zaświadczam, że Keszek Julian Nagórski urodził ---
 się dnia 14 lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku ---
 w Włocławku z ojca Zygmunta Aleksandra Nagórskiego technika zamieszkałe-
 go w Włocławku i matki Heleny Leonji Nagórskiej z domu Maroszek zamieszka-
 nej w Włocławku. Włocławek, dnia 15 lutego 1949 r. Urzędnik Stanu Cywilne-
 go /-/
 podpis nieczytelny .10 zł. Opłata Stemplowa. 100 zł. Opłata Administ-
 cyjna .

Okragła pieczęć z napisem w otoku : Urząd Stanu Cywilnego Włocławek Miasto

Zgodność odpisu z oryginałem stwierdzam:



[Handwritten signature]

542?



RZECZPOSPOLITA POLSKA

URZĄD STANU CYWILNEGO w Włocławku

Województwo włocławskie

Odpis skrócony aktu zgonu

I. DANE DOTYCZĄCE OSOBY ZMARLEJ:

- 1. Nazwisko Nagórski
- 2. Imię (imiona) Franciszek
- 3. Nazwisko rodowe Nagórski
- 4. Stan cywilny żonaty
- 5. Data urodzenia 61 lat
- 6. Miejsce urodzenia Włocławek
- 7. Ostatnie miejsce zamieszkania Włocławek

II. DANE DOTYCZĄCE DATY I MIEJSCA ZGONU:

- 1. Data 29 sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego /29/08/1920/ roku
- 2. Miejsce Włocławek

III. DANE DOTYCZĄCE MAŁŻONKA OSOBY ZMARLEJ:

- 1. Nazwisko Nagórski
- 2. Imię (imiona) Pelagia
- 3. Nazwisko rodowe Zając

IV. DANE DOTYCZĄCE RODZICÓW OSOBY ZMARLEJ:

Ojciec	Matka
Piotr	Marcjanna
Nagórski	Demblińska

- 1. Imię (imiona)

- 2. Nazwisko rodowe

Poswiadcza się zgodność powyższego odpisu z treścią aktu zgonu Nr 694/1920/J.

Włocławek data 1995-03-15

KIEROWNIK

Urzędu Stanu Cywilnego



RZECZPOSPOLITA POLSKA

URZĄD STANU CYWILNEGO w Włocławku

Województwo włocławskie

Odpis skrócony aktu zgonu

I. DANE DOTYCZĄCE OSOBY ZMARLEJ:

- 1. Nazwisko Nagórski
- 2. Imię (imiona) JULIAN Maksymilian
- 3. Nazwisko rodowe Nagórski
- 4. Stan cywilny żonaty
- 5. Data urodzenia 21 października 1896 roku
- 6. Miejsce urodzenia WŁOCŁAWEK
- 7. Ostatnie miejsce zamieszkania Włocławek-ZAMCZA 6/8

II. DANE DOTYCZĄCE DATY I MIEJSCA ZGONU:

- 1. Data 27 grudnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego/27.12.1970/roku
- Miejsce WŁOCŁAWEK

III. DANE DOTYCZĄCE MAŁŻONKA OSOBY ZMARLEJ:

- 1. Nazwisko NAGÓRSKA
- 2. Imię (imiona) Cecylia
- 3. Nazwisko rodowe Kozanecka

IV. DANE DOTYCZĄCE RODZICÓW OSOBY ZMARLEJ:

Ojciec	Matka
Franciszek	Pelagia
Nagórski	Zajączkowska

- 1. Imię (imiona)

- 2. Nazwisko rodowe

Poswiadcza się zgodność powyższego odpisu z treścią aktu zgonu Nr 873/1970

Włocławek data 1995-03-15

KIEROWNIK

Urzędu Stanu Cywilnego



RZECZPOSPOLITA POLSKA

URZĄD STANU CYWILNEGO w Bydgoszczy
Województwo

Odpis skrócony aktu zgonu

I. DANE DOTYCZĄCE OSOBY ZMARŁEJ:

- 1. Nazwisko Nagórska
- 2. Imię (imiona) Helena Leonia
- 3. Nazwisko rodowe Maroszek
- 4. Stan cywilny zamężna
- 5. Data urodzenia 20 lutego 1922 roku
- 6. Miejsce urodzenia Włocławek
- 7. Ostatnie miejsce zamieszkania Włocławek

II. DANE DOTYCZĄCE DATY I MIEJSCA ZGONU:

- 1. Data dwunastego listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego (12.11.1997) roku
- 2. Miejsce Bydgoszcz

III. DANE DOTYCZĄCE MAŁŻONKA OSOBY ZMARŁEJ:

- 1. Nazwisko Nagórski
- 2. Imię (imiona) Zygmunt Aleksander
- 3. Nazwisko rodowe Nagórski

IV. DANE DOTYCZĄCE RODZICÓW OSOBY ZMARŁEJ:

	Ojciec	Matka
1. Imię (imiona)	Władysław	Janina
2. Nazwisko rodowe	Maroszek	brak danych

Województwo
Miejsce
skarbowa

Poświadczam zgodność powyższego odpisu z treścią aktu zgonu Nr 3755/1997

Bydgoszcz, dnia 1997.11.12 vs
Zastępca
KIEROWNIK
Urzędu Stanu Cywilnego
mgr J. Cichociński

II. Materiały uzupełniające relacje: Nagórski
/ Zygmunt

1. art. Sudnie dobrej roboty, Życie
Włocławskie, nr 39 z 30.09.1971(?)
ksierokop.

k. 1 s. 1

2. Druko genealogiczne rodu Nagórskich
i Maroseków oprac. przez S. Nagórskiego,
ksierokop.

k. 4 s. 2-5



"Sygn. Włocławska"
nr 39 (174) z 30.09.1971 (?)

LUDZIE DOBREJ ROBOTY

ZYGMUNT NAGÓRSKI należy do długoletnich pracowników wrocławskiego oddziału „Hydroprojektu”. Jako absolwent Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej pracował uprzednio w „Zamechu” w Elblągu i następnie w Biurze Konstrukcyjnym Taboru Rzecznego w Stoczni Rzecznej w Pleniewie. W ciągu 14 lat pracy w „Hydroprojekcie” we Wrocławiu wyspecjalizował się w wykonywaniu prac projektowych, związanych z wyposażeniem mechanicznym dla obiektów budownictwa wodnego. Jego dziełem są m. in. projekty technologiczne, instalacyjne i wentylacyjne pompowni dla stopnia wodnego we Wrocławiu, w Modze-rowsie, Brwilnie i Radziwiu — Tokarach, a także ujęcie wody dla Płocka oraz pompownia II stopnia i rurociąg wody przemysłowej dla pióckiej rafinerii. Projektował również urządzenia z zakresu gospo-



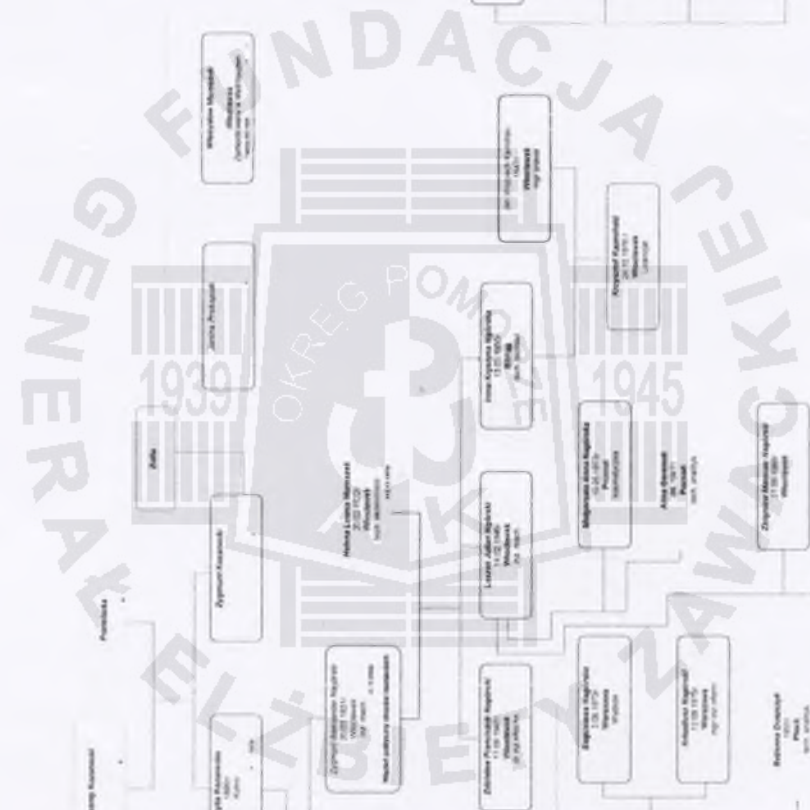
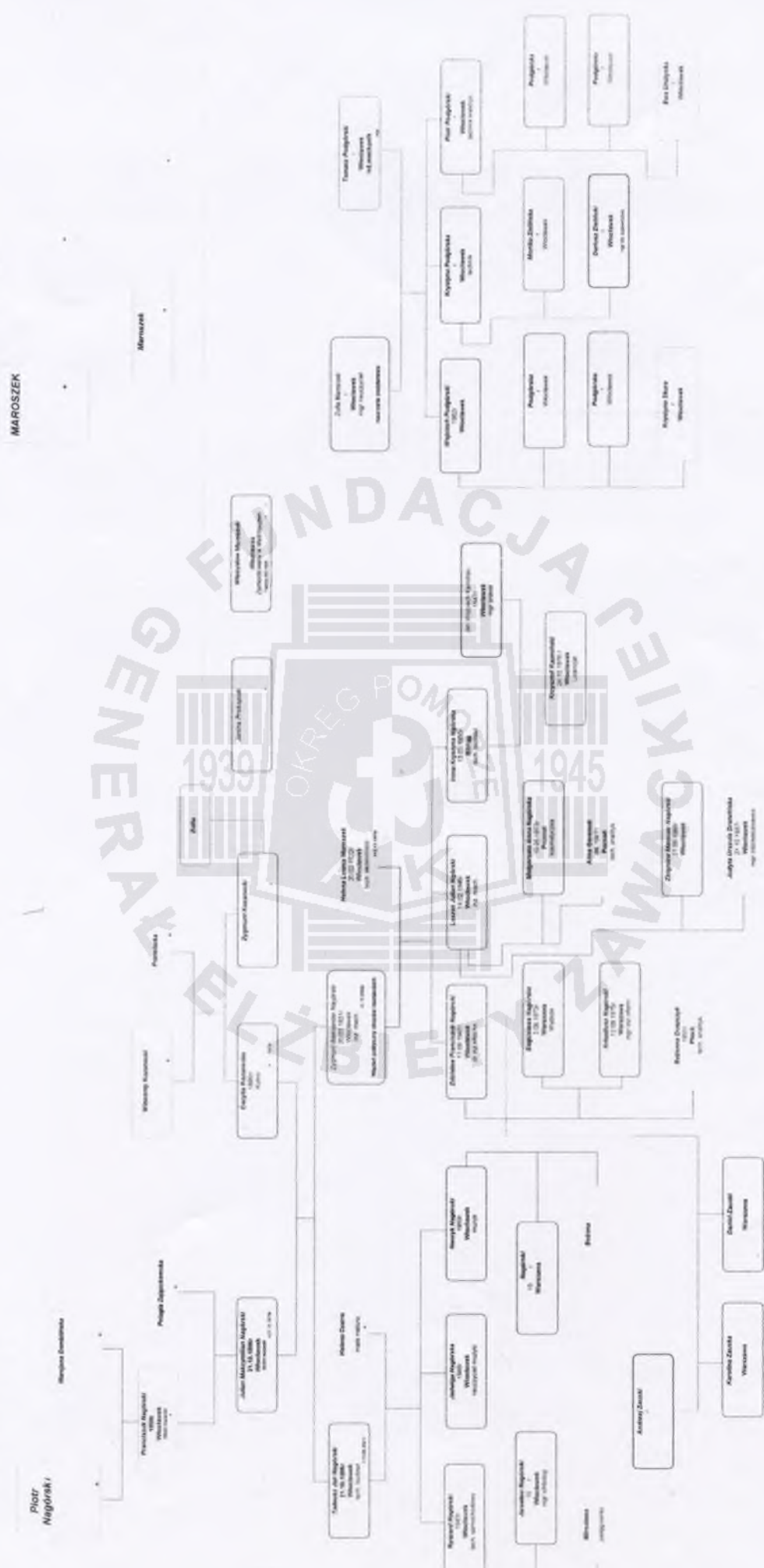
darki wodnej dla przemysłu cukrowniczego m. in. w Brześciu Kujawskim, Dobrem i nowo budowanej cukrowni w Świeciu.

W projektowanych przez siebie urządzeniach mechanicznych budownictwa wodnego, jak: pompownie, jazzy, wciągarki, dźwigi itp. inż. Z. Nagórski stosuje nowe, prototypowe rozwiązania techniczne. Jego projekty charakteryzuje ponadto pedantyczne do-
pracowanie szczegółów i ter-

minowość wykonania zleceń. Za prace projektowe, związane z budową zbiornika wodnego we Wrocławiu, został odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi. Ceniony jest przez kierownictwo, jak i współpracowników „Hydroprojektu” za sumienność pracy i koleżeńską postawę. Inż. Z. Nagórski od 20 lat związany jest również ze średnim szkolnictwem zawodowym we Wrocławiu jako wykładowca przedmiotów zawodowych.
E. P.

Drzewo genealogiczne
Rodu NAGÓRSKICH

Drzewo genealogiczne
Rodu MAROSZEK



Drzewo genealogiczne Rodu MAROSZEK

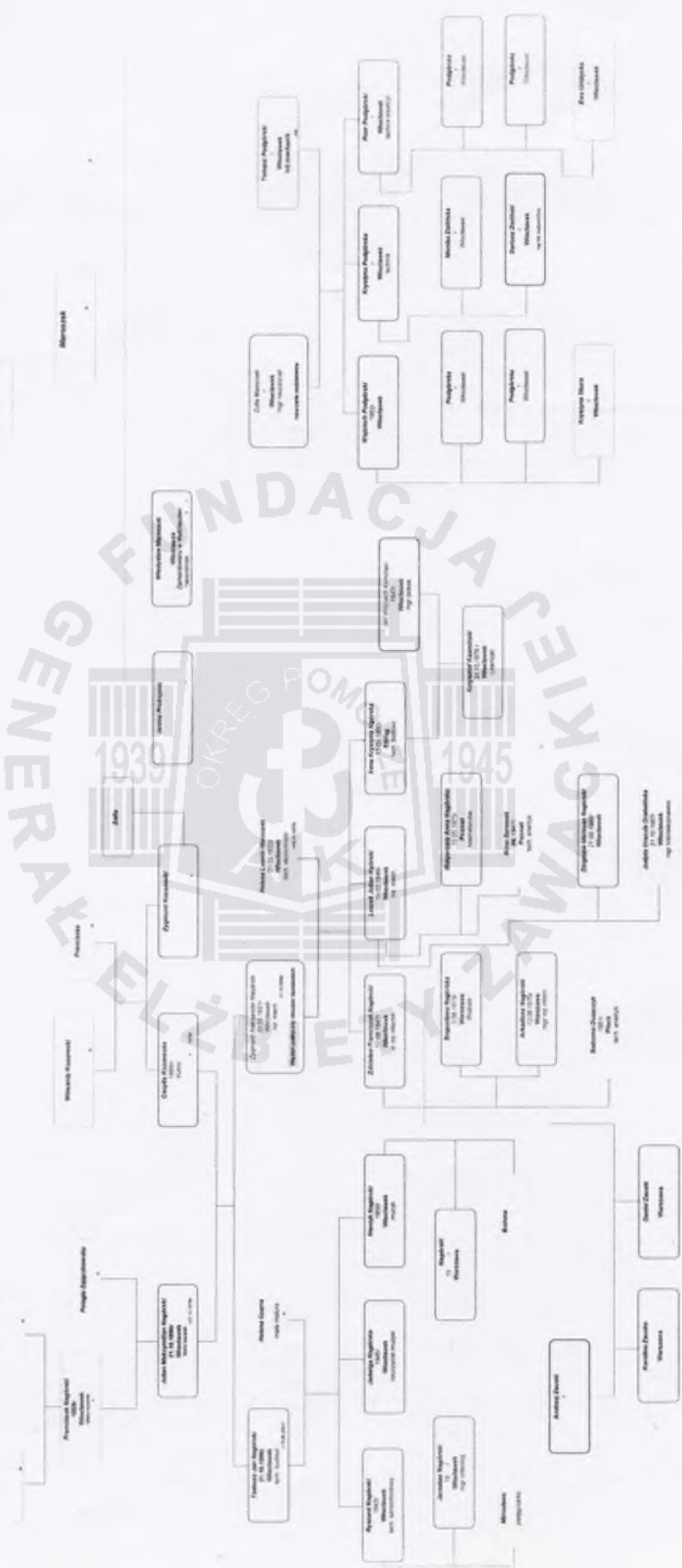
MAROSZEK

Młodziak

Drzewo genealogiczne Rodu NAGÓRSKICH

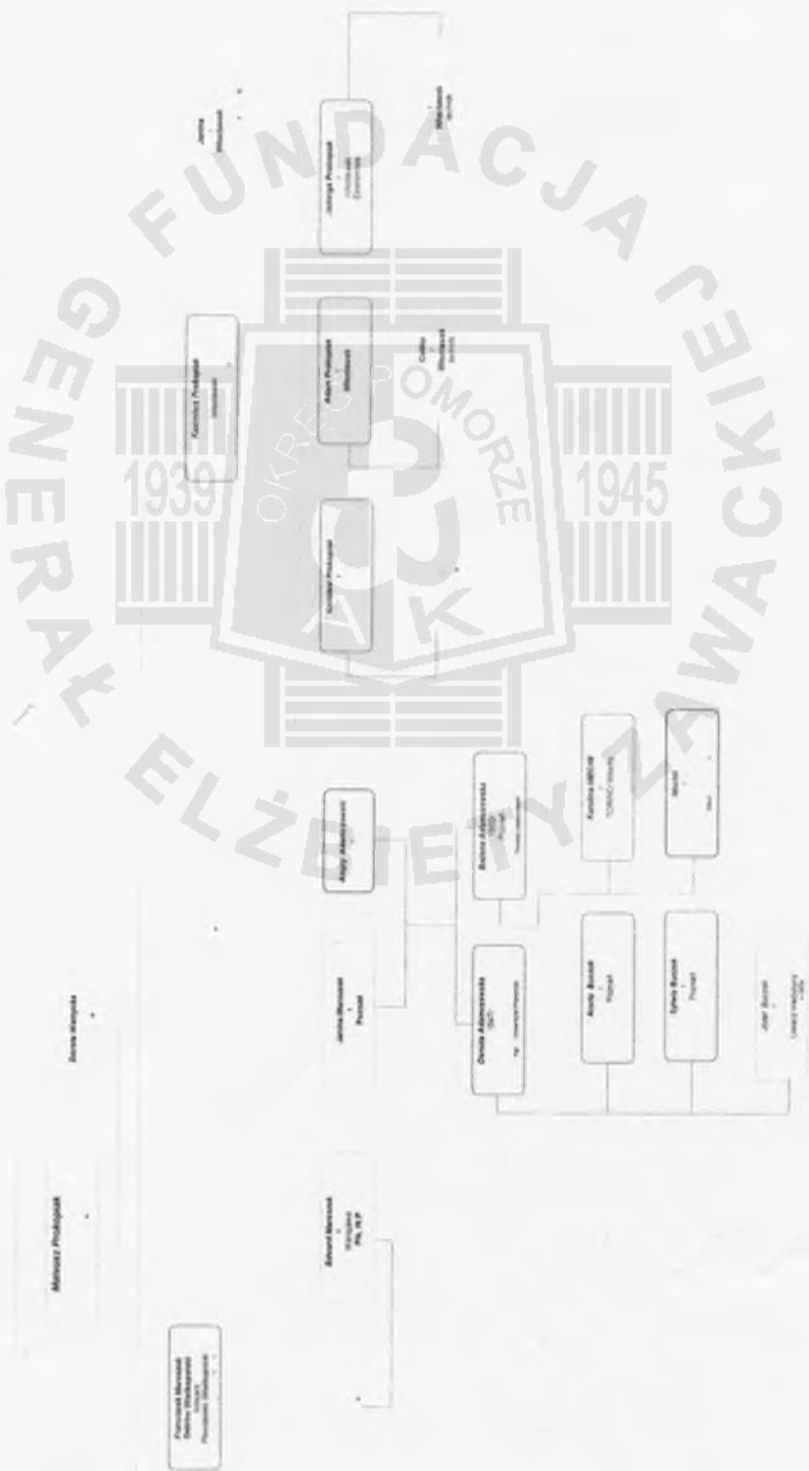
Piotr Nagórski

Marysia Świdzińska



**Drzewo genealogiczne
Rodu PROKOPIAKÓW**

Protokół

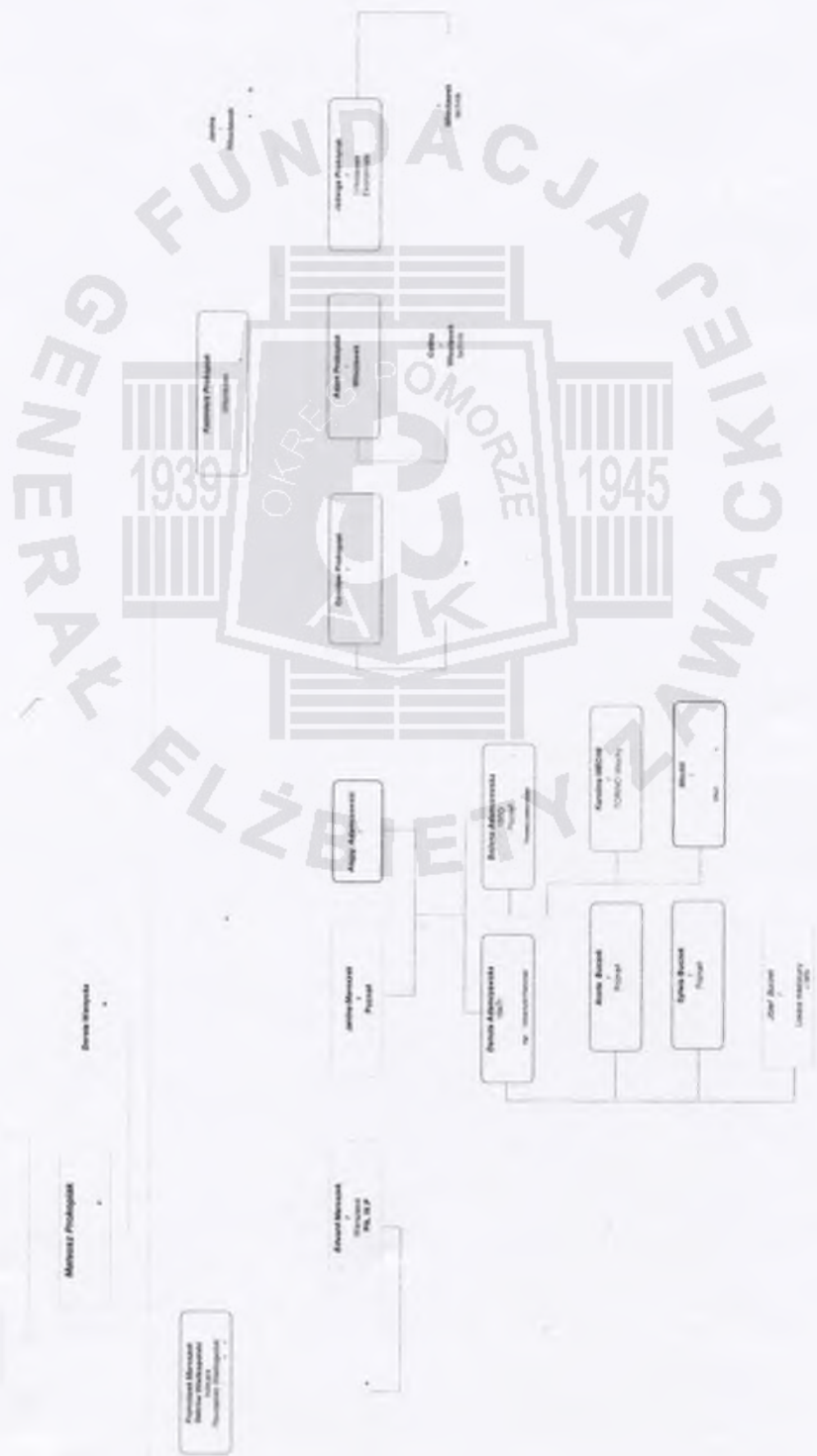


*Opracował
L. Nagórski
L. Nagórski
nr 90237*

Opracował
L. Nagórski
Stażym
nr 9003r

Drzewo genealogiczne
Rodu PROKOPIAKÓW

Prokopiak



T: M-1377/2247 Som.

Wrocław

Magóński Zygmunt A.

V. Prarty informacyjne

k. 2K

Magórski Sigmunt Aleksander ^{Wrocław, 1} 2232

zob. Liotkowski B., Lujawski
Lingwek Poditysew-Litwacki
i Lujawskie ..., Tomi 2006,
s. 289, passim.

MO. 1, 15

Magórski Zygmunt Aleksander ^{Wrocław 2}
^{22.12.1943}

zob. Liótkowski B., Polskie Godzienie
na Dniach..., Tomi 39 2008,
s. 96

ak. 1, 15.

*Magórski
Zygmunt Aleksander*

